Heather Gudenkauf
Drobne kłamstwa
Jeśli zawiedzie, kolejna matka zapłaci najwyższą cenę
Darmowy ebook, wstęp do *Małych cudów*

Heather Gudenkauf

Drobne kłamstwa

Przełożyła Joanna Dziubińska

FILIA

Ku pamięci Angie
Kimbry Valenti

Przyzwyczaiłam się do otrzymywania telefonów w środku nocy, jak strażacy, lekarze i księża. Jednak do mnie nie dzwonią po to, abym ugasiła pożar, wykonała nieplanowane cesarskie cięcie albo udzieliła umierającemu ostatniego namaszczenia. Kiedy telefon dzwoni o drugiej w nocy, wiem, że chodzi o któreś z moich dzieci. Nie rodzonych, lecz tych, które znam poprzez pracę opiekuna socjalnego w Wydziale Służb Społecznych w Cedar City w stanie Iowa.

Z tych nocnych telefonów zwykle dowiaduję się o brutalnych domowych burdach, przez które należy zabrać dziecko z domu dla jego własnego bezpieczeństwa. Te nocne wypadki są do siebie przygnębiająco podobne i rzadko kiedy dobrze się kończą: ojciec w alkoholowym ciągu może oznaczać poturbowane żebra, złamane kości. Dzieci bez opieki z dostępem do zapalniczek równają się poparzeniom trzeciego stopnia. Kłótnia małżeńska może się zakończyć ranami postrzałowymi albo kłutymi. Za każdym razem dzieci są głęboko dotknięte dramatem, którego były świadkami, a wyrwanie ich z życia, które znają, bez względu na to, jakie było dysfunkcyjne i niszczące, zawsze wprowadza je w stan zagubienia.

Nie jestem więc zaskoczona, kiedy telefon na mojej szafce nocnej głośno wibruje. Choć nie zdążyłam się jeszcze rozbudzić, moja dłoń automatycznie szuka komórki, zanim ta znów zdąży wydać z siebie odgłos i obudzić leżącego przy mnie Adama i trójkę moich dzieci, które smacznie śpią w swoich sypialniach.

– Halo? – stękam do telefonu.

– Ellen – odzywa się szorstki głos po drugiej stronie słuchawki. Odrzucam pościel i koc, siadam na łóżku.

– Joe? – pytam, nie do końca przytomna. To nie Caren Regis, moja przełożona w WSS, a Joe Gaddey, detektyw z komisariatu policji w Cedar City, jeden z moich najlepszych przyjaciół.

– Wybacz, że cię budzę – mówi. Jego ton jest nerwowy, ale ani trochę przepraszający.

– Która godzina? – pytam i mrużąc powieki, patrzę na zegarek po stronie łóżka Adama, ale nie jestem w stanie odczytać numerów.

– Wpół do drugiej. Słuchaj, mamy sprawę w parku Singera.

Park Singera to półtorahektarowy obszar zieleni pełen rzeźb, kupiony i ofiarowany miastu przez Medwyna Singera, bogatego biznesmena pochodzącego z naszego miasta. Kiedyś w parku stało dwadzieścia niezwykłych, zachwycających rzeźb o różnych rozmiarach i tematyce, co było atrakcją dla rodzin i turystów, ale podczas powodzi w 1993 roku woda zakryła tysiąc trzysta kwartałów ulic i teren zniknął na jakiś czas pod siedmioma metrami wody, co zniszczyło wiele posągów i centralną część Cedar City. Mimo wysiłków, by odrestaurować park, nigdy nie wrócił on do wcześniejszej chwały, teraz przyciągając raczej typy spod ciemnej gwiazdy, a nie rodziny.

– Co się stało? – Wstaję powoli, starając się nie robić hałasu, i wychodzę na korytarz, przystając, by zajrzeć do pokoju Leah, a potem Lucasa. Oboje śpią jak susły.

– Mamy ciało w parku. Pod rzeźbą kobiety z dwójką dzieci – mówi Joe, a ja zastygam w bezruchu tuż przed pokojem Avery. Moja najmłodsza, pięciomiesięczna córka jeszcze nie przesypia całych nocy.

– Pod Leto? – pytam, choć doskonale znam tę rzeźbę. Nie chcę słyszeć, co Joe powie dalej, choć ucisk w żołądku mówi mi, że już i tak wiem.

– Tak – mówi Joe. – Możesz przyjechać?

– Jest tam dziecko. – To nie pytanie. Już przez to przechodziłam.

– Tak – znów mówi Joe. – Wygląda na trzy albo cztery lata. Ma się dobrze, jest tylko zziębnięty. I zdezorientowany.

– Zaraz przyjadę – mówię, trzęsąc się. Jest zima, a w Iowie zimy są bezlitosne. Mój urlop macierzyński skończył się dopiero osiem tygodni temu i ledwie zdążyłam się na nowo przyzwyczaić do dawnego harmonogramu pracy, a już pogrążam się w bagnie

mojego zawodu. Chcę położyć się do łóżka obok męża i chłonąć ciepło jego ciała, ale zamiast tego ubieram się cicho i pospiesznie. Zanim wyjdę, delikatnie budzę Adama i mówię mu, że idę się zająć porzuconym dzieckiem.

– Uważaj na siebie – mówi sennym głosem, po czym przewraca się na bok.

– Będziesz czuwał nad Avery? – pytam. Odpowiada mi mruknięciem, a ja biorę je za tak. Zatrzymuję się przed drzwiami jej pokoju, zwalczając w sobie chęć, by otworzyć drzwi i pocałować ją na do widzenia. Choć to moje trzecie dziecko, zachwycam się jej maleńkimi paluszkami, trzepotem rzęs, rzucającym cień na policzki, jej uroczymi pełnymi ustami, ściągniętymi, jakby pogrążona była w głębokich przemyśleniach. Zamiast tego posyłam jej bezgłośny pocałunek przez zamknięte drzwi. To nie byłoby w porządku: obudzić ją, a następnie wyjść. Adam jest tak samo wyczerpany jak ja, a musi wstać o szóstej rano, żeby zawieźć dzieci do szkoły i przedszkola, zanim rozpocznie swój dzień jako nauczyciel historii i trener. Trwa sezon koszykarski i czasem wraca z meczów z innych miast dopiero około północy.

W ciemności zasuwam zimową kurtkę, zakładam wełnianą czapkę i rękawiczki i wychodzę na przenikliwy mróz późnej styczniowej nocy. Trawniki przykrywa brudny śnieg, zgarnięty w poszarpane wydmy, tam gdzie szufle i pługi śnieżne odrzucały na bok plon ostatniej śnieżycy. W świetle ulicznych lamp mój oddech wydaje się biały jak duch. Otwieram naszego vana, zaparkowanego na podjeździe, i włączam ogrzewanie na maksimum. Biorę skrobaczkę. Nasz garaż mieści tylko jedno auto, a ponieważ Adam miał dziś odwieźć dzieci do szkoły i przedszkola, uparłam się, żeby zaparkował w środku – w ten sposób jego pick-up będzie rano choć trochę cieplejszy. Przejeżdżam skrobaczką po przedniej szybie. Szron odchodzi lodowymi lokami. Jedynymi odgłosami są mój oddech i cichy chrobot skrobaczki po szybie.

Do parku Singera jedzie się ode mnie zwykle piętnaście minut i mimo że niecierpliwię się, by dotrzeć na miejsce, ponieważ mam do Joego tyle pytań, zmuszam się, by jechać powoli. Ulice są

odśnieżone, ale tu i ówdzie zdarzają się śliskie miejsca, a ja nie chcę staranować drzewa albo słupa telefonicznego. Cedar City nocą to zupełnie inne miejsce. Za dnia to tętniące życiem miasto, drugie co do wielkości w stanie Iowa, liczące prawie dwieście tysięcy mieszkańców. Jak we wszystkich społecznościach tego rozmiaru mieszkają tu różne rodziny w różnych sąsiedztwach – są tu wielkie domy z cegły, należące do bogaczy, skromniejsze, będące własnością społeczności klasy średniej i pracującej oraz okolice, wzdłuż których ciągną się wąskie domy przerobione na tanie mieszkania socjalne. Mamy obszary czysto komercyjne, z fabrykami, dealerami samochodów, restauracjami i kilkoma barami ze striptizem. Ale we wtorkowy poranek ulice Cedar City są całkiem puste i miasto, w którym się wychowałam, jest w pełni spokojne.

Kiedy w końcu dojeżdżam do bramy parku Singera dwadzieścia minut później, gorący nadmuch na tyle ocieplił wnętrze samochodu, że niechętnie wysiadam z powrotem na lodowate powietrze. Młody, spięty policjant, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie, podchodzi do mojego vana, a ja opuszczam szybę.

– Park jest zamknięty, proszę pani – mówi. – Proszę odjechać.

Wyciągam z torebki identyfikator.

– Wezwał mnie detektyw Gaddey. Jestem Ellen Moore, opiekun socjalny. – Podaję mu identyfikator, a on ogląda go dokładnie w blasku latarki.

– Zaraz wrócę – mówi i oddala się od vana, na co ja szybko zasuwam szybę, ale całe ciepłe powietrze zdążyło już wyparować. Patrzę, jak funkcjonariusz rozmawia przez krótkofalówkę, i wiem, że sprawdza moją tożsamość. Po chwili podbiega z powrotem i raz jeszcze opuszczam szybę.

– Może pani jechać dalej – mówi, oddając mi identyfikator. – Proszę jechać prosto aż do żółtych taśm policyjnych. Nie da się ich nie zauważyć.

Postępuję zgodnie z jego instrukcją i za niespełna minutę widzę, o czym mówił. Sześć radiowozów zaparkowanych w półokręgu, ze światłami skierowanymi na upiornie podobny do żywego człowieka posąg, przedstawiający boginię Leto.

Parkuję vana i otwieram drzwi. Przenikliwy podmuch powietrza próbuje z powrotem je zamknąć, a mnie wepchnąć do środka, ale odpieram go z równą siłą i wychodzę na zewnątrz, zanim wiatr znów zbierze swe moce. Kolejna policjantka pyta mnie o identyfikator i raz jeszcze tłumaczę, kim jestem. Poważnie potakuje.

– Dziecko siedzi w karetce. – Pokazuje w stronę nieoświetlonego reflektorami aut obszaru i nieco na prawo od posągu widzę ambulans. Wyciągam szyję, próbując znaleźć Joego, ale jest tam przynajmniej z pół tuzina mężczyzn opatulonych w puchowe kurtki, z nisko naciągniętymi na uszy czapkami, przez co rozpoznanie poszczególnych osób graniczy z niemożliwością. Ich uwaga skupiona jest na ziemi, podbródki pochylone mają w tym samym geście, jakby w modlitwie. Już to widziałam – nie modlą się. Szczegółowo analizują miejsce zbrodni.

Jak przyciągana magnesem, idę drętwo w stronę policjantów. Nie żebym chciała zobaczyć ciało – nie chcę – ale aby zająć się dzieckiem czekającym na mnie w karetce najlepiej jak potrafię, muszę się dowiedzieć wszystkiego, co się da, o zmarłej osobie. Widziałam już wiele nieżyjących ludzi. Mam z nimi do czynienia już od pierwszej sprawy. Moją pracę zaczęłam czternaście lat temu od przypadku sześcioletnich bliźniaków, pięcioletniej dziewczynki, ich matki, ojca i kija bejsbolowego. Tylko jeden z chłopców przeżył. Joe Gaddey był policjantem postawionym przed drzwiami domu. Kiedy zaczęli wynosić torby z ciałami, a ja niemal zemdlałam, podtrzymał mnie i od tamtego czasu zostaliśmy przyjaciółmi.

Od grupy odłącza się duża postać, w której rozpoznaję Joego. Już w zwykłych ubraniach jest postawnym mężczyzną, ale w puchowej kurtce, sięgających do kolan zimowych butach, czapce i rękawiczkach wydaje się być kolosem. Mierzący ponad metr dziewięćdziesiąt i ważący minimum sto dziesięć kilogramów Joe mógł sprawić, że nawet najbardziej hardy kryminalista kulił się ze strachu. Jednak jego dziecięce rysy i nieśmiały uśmiech świadczą o jego delikatnej naturze. Bierze mnie za łokieć, zręcznie próbując odciągnąć od miejsca zbrodni, ale jest już za

późno. Widzę ciało młodej kobiety, która zdaje się mieć niewiele ponad dwadzieścia lat. Drżę na sam widok tego, jak lekko jest ubrana, mimo że wiem, iż nie czuje już chłodu. Ma na sobie legginsy i białą koszulkę z krótkim rękawem, coś, w co ubrałabym się do spania. Jej stopy są bose. Leży na plecach, a jej długie czarne włosy, rozpostarte na śniegu, mocno kontrastują z jego bielą. Jej oczy są otwarte szeroko, lecz na nic nie patrzą, na twarzy maluje jej się dziwna konsternacja, jakby jej ostatnie myśli brzmiały „Nie tego się spodziewałam". Nie widać żadnej krwi ani wyraźnych obrażeń, które mogłyby sugerować przyczynę śmierci.

– Z tego miejsca nie widzę dokładnie, ale wygląda na to, że umarła od uderzenia tępym narzędziem – mówi Joe, jakby czytając mi w myślach. Ma tę niespotykaną zdolność, że wie, co myślę, zanim wypowiem nawet słowo. – Wygląda na to, że została zabita gdzie indziej i porzucona tutaj.

– Wiecie kim jest? – pytam, nie potrafiąc odwrócić wzroku od jej twarzy. Jej koszulka podciągnięta jest pod piersi i mam ochotę podejść i ją ściągnąć, żeby zakryć jej połyskujący kolczyk w pępku.

Joe kręci głową. Koniuszek jego nosa jest jaskrawoczerwony, a na koziej bródce, którą niedawno zapuścił, osiadł szron.

– Brak dowodu. Ktoś zadzwonił do dyspozytora, mówiąc, że w parku jest kobieta z dzieckiem, która wygląda, jakby potrzebowała pomocy.

– Kto by tu przyszedł w taką pogodę i to w środku nocy? – Joe nic nie mówi, a ja przyglądam się jego zaniepokojonej twarzy.

– Myślisz, że dzwonił sprawca? – pytam, podchodząc do niego bliżej.

– Nie można tego wykluczyć – odpowiada Joe, delikatnie kładzie mi dłoń na plecach i prowadzi mnie w stronę karetki. – Cała sprawa wygląda bardzo dziwnie.

– I znajomo – dodaję.

– Może – odpowiada Joe. – Chłopiec, którego przy niej znaleźliśmy, wygląda na około trzy lata. Tak jak powiedziałem przez telefon, nie wydaje się ranny, ale oglądają go ratownicy medyczni i zaraz zabiorą do szpitala, gdzie lekarz zbada go dokładniej.

Spoglądam na Joego pytającym spojrzeniem. Zazwyczaj karetka już dawno byłaby w drodze.

– Powiedział coś? – pytam, podczas gdy Joe delikatnie puka do tylnych drzwi karetki.

– Nie, jest trochę przestraszony. Zresztą nic dziwnego.

– No tak. Liczyłeś, że użyję moich magicznych mocy komunikowania się z dziećmi i sprawię, że mały powie, kim jest bandzior, mam rację?

Otwierają się drzwi karetki i widzę za nimi małego chłopca owiniętego ciepłym kocem. Na widok Joego malec zaczyna wyć ze strachu.

– Tak jak mówiłem, jest trochę przestraszony. Wystarczy, że któryś z nas do niego podejdzie, a zaczyna krzyczeć.

– Bo można się ciebie przestraszyć – mówię i lekko wypycham go poza pole widzenia chłopczyka. – To chyba przez twoją czapkę.

– A co z nią nie tak? – pyta Joe, ściągając z głowy futrzaną pilotkę.

– Wygląda trochę jak dzikie zwierzę, które siedzi ci na głowie. Dobrze, zostań tu na chwilę, a ja spróbuję się przynajmniej dowiedzieć, jak ma na imię. – Ściągam swoją czapkę i wsiadam do karetki, zamykam za sobą drzwi. Płacz chłopca przycichł. Teraz słychać tylko łkanie. Sięgam do kieszeni kurtki i grzebię w niej, aż znajduję to, czego szukam – małą paczuszkę krakersów w kształcie zwierzątek.

– Mogę? – pytam ratownika, który potakuje.

– Wydaje się, że fizycznie nic mu nie jest – wyjaśnia. – Dam pani kilka minut, a potem musimy go zawieźć do Świętego Rafała.

Ratownik przechodzi na przód karetki, a ja siadam na noszach, naprzeciw chłopczyka, który kuli się na ławeczce biegnącej wzdłuż karetki. Wiem, że muszę być bardzo ostrożna. Doświadczył dziś czegoś bardzo traumatycznego. Mogę zrobić tylko dwie rzeczy: wszystko pogorszyć albo polepszyć.

Ściągam rękawiczki, ostrożnie otwieram torebkę krakersów i wysypuję kilka na rękę. Z ust chłopca wydobywają się małe, smutne, szarpane wdechy i podejrzliwie mierzy mnie wzrokiem. Co dziwne, w przeciwieństwie do matki, jeśli jest nią zmarła

kobieta, chłopiec ubrany jest ciepło – w granatową zimową kurtkę, szare wełniane rękawice, pasującą do nich czapkę i zimowe buty. To nie ma sensu. Wkładam sobie krakersa do ust i gryzę go przez kilka chwil, po czym mówię.

– Mam na imię Ellen, a ty? – Celowo nie patrzę się wprost na niego, bo nie chcę go przestraszyć. – Mam troje dzieci. Najstarsza córka ma osiem lat. Masz osiem lat?

Chłopiec zastanawia się nad tym przez chwilę i przecząco kręci głową. – Mój syn ma pięć lat. Założę się, że ty też – mówię z pewnością w głosie. – Wyglądasz na pięć. – Znów ten sam gest. – Może masz dwa? – Wydaje się urażony pytaniem i tym razem kręci głową z większą zawziętością. – Oczywiście, że masz więcej niż dwa. Może cztery? – Nieśmiało potakuje. – Mam dwie córki. Jedna ma na imię Leah, a druga Avery. Jest bardzo malutka. A mój syn ma na imię Lucas. Powiesz mi, jak ty masz na imię? – Próbuję raz jeszcze. Nie odpowiada.

– Pomagam chłopcom i dziewczynkom, którzy są przestraszeni i smutni. – Nadal nic. – Mam wrażenie, że jesteś troszkę smutny.

Dolna warga chłopca drży, a z oczu płyną łzy. Odwraca się do okna karetki i gęstym od łez głosem mówi:

– Mamusia.

– Jak ma na imię? – Staram się, by mój głos brzmiał przyjaźnie, nienatarczywie. Chłopiec milczy.

– Czy tam na zewnątrz jest twoja mama? – pytam, starając się zbytnio nie naciskać. – Twoja mamusia to ta pani z ciemnymi włosami? W białej koszulce? – Chłopiec podciera nos ręką i kiwa głową. Uśmiecham się do niego zachęcająco i przechylam w jego stronę opakowanie krakersów.

– Chcesz jednego?

– Nie chcę. – Mimo że powietrze na zewnątrz jest lodowate, w karetce jest ciepło, więc rozsuwam kurtkę. Policzki chłopczyka są intensywnie różowe i lekko się łuszczą, jakby wysmagał je lodowaty wiatr. – Powiedz mi, jak ma na imię twoja mama?

Ledwie słyszę jego głos, delikatny i gęsty od płaczu. Nachylam się bliżej.

– Ktoś zrobił krzywdę mamusi? – Patrzy na mnie błagalnym wzrokiem, jakby chciał mnie nakłonić, żebym powiedziała, że nie, jego mama ma się świetnie.

– Tak – mówię.

Wypuszcza z siebie długi, drżący wydech i znów zaczyna płakać, zaciskając powieki, jakby chciał zablokować wszystko, co widział tego wieczoru. Siadam koło niego, ale jeszcze zanim zdążę usiąść, pada mi w objęcia. Jego ramiona, nawet w grubej kurtce, mocno obejmują moją szyję, a karetka powoli rusza bez włączania syren, żeby nie zawiadamiać okolicznych mieszkańców o zbrodni, która zdarzyła się tuż pod ich drzwiami. Podróż do szpitala miała trwać krótko, ale zanim dotarliśmy na miejsce, szyję już mam mokrą od gorących łez, a chłopiec za nic nie chce mnie puścić. Nieporadnie wysiadam z karetki, nadal trzymając dziecko na rękach. Witają nas polarne powietrze i błyskające światła. Fotograf robi nam zdjęcie i zastanawiam się, jak to możliwe, że prasa już zwęszyła sprawę.

– Nie podnoś główki – szepczę do chłopca. – Wiatr jest bardzo zimny. – Robię, co mogę, by osłonić jego twarz, kiedy idziemy do wejścia na oddział ratunkowy.

Po długim namawianiu i zapewnianiu, że nigdzie nie idę, chłopiec poddaje się opiece pielęgniarki. Powinnam się skontaktować ze specjalną rodziną zastępczą, która jest przygotowana na takie kryzysowe sytuacje, ale odwlekam to, co nieuniknione. Obiecałam chłopcu, że będę w pobliżu podczas badania lekarskiego, i dotrzymam słowa. Teraz jestem jego jedyną przyjaciółką. Czuję, jak dopada mnie zmęczenie, siadam więc na wolne krzesło i czekam.

Budzi mnie płacz niemowlęcia i przez chwilę myślę, że to Avery. Przez moment zastanawiam się, gdzie jestem, i szybko zdaję sobie sprawę, że nadal siedzę w szpitalu. Do środka wpada przez okna niewyraźne szare światło i zerkam na zegarek. Siódma dwadzieścia pięć.

– Śpi – mówi ta sama pielęgniarka, która wcześniej przejęła ode mnie chłopca, i wskazuje w stronę sali zabiegowej. Zaglądam do

środka i widzę, że malec przykryty białym kocykiem śpi w szpitalnym łóżeczku dziecięcym.

– Nic mu nie jest? – pytam. – Powiedział, jak ma na imię?

– Nic mu nie jest – zapewnia mnie pielęgniarka – ale nie chciał albo nie mógł nam nic powiedzieć o tym, kim jest albo skąd się wziął.

– Na pewno ktoś się dziś po niego zgłosi – mówię z większym przekonaniem, niż naprawdę czuję. – Muszę wykonać kilka telefonów. Proszę dać mi znać, jeśli się obudzi.

Pielęgniarka kiwa głową, a ja idę do okna, mając nadzieję, że jest tam lepszy zasięg. Na początku dzwonię do Caren Regis, mojej przełożonej z Wydziału Służb Społecznych, i zdaję jej raport z tego, co się dzieje. Potem próbuję dodzwonić się do Joego, aby dowiedzieć się, czy zidentyfikowano kobietę w parku, ale od razu włącza się poczta głosowa. W końcu dzwonię do Marthy Renner, matki zastępczej, która, mam nadzieję, na jakiś czas przyjmie do siebie chłopca. Często pracowała z dziećmi, które miały za sobą straszne doświadczenia. Nie wiem, jak wyglądałby nasz świat, gdyby nie było takich bezinteresownych kobiet i mężczyzn, gotowych pełnić funkcję zastępczych rodziców dla tych dzieci. Właściwie to była też matką zastępczą dla chłopca, który najwyraźniej przeszedł przez coś bardzo podobnego jak nasz mały NN. Trzynaście lat temu.

Czuję, że ktoś za mną stoi. Odwracam się i widzę Joego. Wygląda na tak zmęczonego, jak ja się czuję.

– Ładna fryzura – mówi, podając mi jeden z kubków kawy, które trzyma w dłoniach. Wolną ręką dotykam głowy i przeczesuję palcami rozczochraną czuprynę, nieokiełznaną po całej nocy spędzonej w ciasnej czapce.

– Ładna czapka – odwzajemniam się i skinieniem podbródka wskazuję na jego głowę. – Wyglądasz jak rosyjski myśliwy.

Dobrodusznie wzrusza ramionami.

– Nie marzną mi w niej uszy. Jak się miewa mały?

– Nadal śpi. Martha Renner, jego tymczasowa matka zastępcza, będzie tu za kilka minut. Musimy o tym porozmawiać. Im więcej myślę o podobieństwach do…

Joe podnosi dłoń i rozgląda się po szpitalnym korytarzu, który teraz zapełnił się pielęgniarkami i lekarzami.

– Chodźmy w bardziej odosobnione miejsce.

– Obiecałam, że nie odejdę za daleko, na wypadek, gdyby chłopiec się obudził. – Z obrzydzeniem kręcę głową. – Nie możemy bez przerwy mówić na niego „chłopiec". Musimy się dowiedzieć, jak ma na imię i kim jest.

– Dowiemy się – zapewnia mnie Joe. – Ktoś na pewno za niedługo się zgłosi. Widać, że ktoś się o niego troszczył. Czysty, ciepło ubrany. Mąż albo chłopak dziewczyny zadzwoni do nas, próbując go odnaleźć.

– Chyba że to on ją zamordował.

Joe kiwa głową w zamyśleniu.

– To najczęstszy scenariusz.

– Ale nie sądzisz, by tak było w tym przypadku? – pytam, obawiając się jego odpowiedzi. Razem wracamy przed salę, w której śpi chłopiec, i siadamy.

– Powiedz, co ty o tym sądzisz – mówi Joe. – A ja odegram rolę adwokata diabła.

– A może to ja będę adwokatem, a ty się wypowiesz. Zawsze trafia ci się rola szatana.

– Niech ci będzie. – Joe upija duży łyk, po czym mówi: – Trzynaście lat temu bezdomna kobieta i jej pięcioletni syn zostali znalezieni w parku Singera. Kobieta została zamordowana, a jej ciało porzucono pod posągiem niemal zupełnie nagiej kobiety.

– To posąg greckiej bogini – precyzuję. – I ona nie jest naga.

– Dobrze, greckiej bogini – poprawia się. – Kobietę rozpoznano jako Nell Sharpe, a jej syn Jonah, który nie odniósł obrażeń, został umieszczony w rodzinie zastępczej. Zbrodni nigdy nie rozwiązano.

– Wszystko się zgadza – przytakuję.

– Trzynaście lat później w tym samym parku, pod tą samą figurą, znajdujemy ciało niezidentyfikowanej kobiety, przy której siedzi synek.

– W tym parku przynajmniej raz w roku policja odkrywa czyjeś ciało. Zazwyczaj to nie są ofiary morderstw, ale i to się zdarza –

mówię, wywiązując się ze swojej roli adwokata diabła.

– Ofiara sprzed trzynastu lat zmarła od uderzenia w głowę tępym narzędziem. Ta kobieta najwyraźniej zginęła w podobny sposób.

– Zbieg okoliczności – kontruję.

– Mam nadzieję, ale i tak będziemy musieli się temu przyjrzeć – mówi Joe, wstając i przeciągając się. – A jak teraz daje sobie radę Jonah? Ma teraz chyba z dwadzieścia lat.

– Osiemnaście, prawie dziewiętnaście. Nikt go nigdy nie adoptował, co chwilę wracał do Marthy Renner, bo wyrzucano go z innych rodzin zastępczych i ośrodków wychowawczych. W głębi duszy to dobre dziecko, ale dokonał w życiu wielu kiepskich wyborów.

Podchodzi do nas pielęgniarka w jasnoróżowym fartuchu.

– Chłopczyk zaczął się budzić – mówi. – Dopilnuję, żeby przyniesiono mu śniadanie.

Dziękuję jej i kiedy idziemy do sali zabiegowej, wyciągam rękę i zdejmuję czapkę z głowy Joego.

– Nie chcesz go straszyć z samego rana – mówię.

Chłopiec, zwinięty w małą kulkę, trzyma kciuk w ustach, oczy powoli mu się otwierają i zamykają, nadal są senne.

– Dzień dobry – szepczę, a chłopczyk wstaje, trzymając się rączkami barierek łóżeczka. Biorę go na ręce. – Jesteś głodny? – Kiwa głową, niepewnym spojrzeniem wpatrując się w Joego. – To jest Joe – mówię mu. – Jest policjantem. Pomaga ludziom.

– Miło mi cię poznać – mówi Joe, podając mu swoją ogromną dłoń. Chłopiec wyciąga rękę, ale zamiast uścisnąć dłoń Joego, chwyta za jego dużą czapkę. Obejmuje ją i przytula do siebie, jakby to był jego ukochany kocyk albo pluszak. Uśmiecham się. Joe już nigdy nie odzyska swojej uszanki.

Joe wzdycha, ale postanawia wejść w tę grę.

– Ma na imię Cujo. – Szturcham Joego w żebra. – I założę się, że chce wiedzieć, jak masz na imię. Powiesz Cujo, jak masz na imię? Możesz mu wyszeptać do ucha, co tylko chcesz – sugeruje Joe.

Chłopiec odsuwa od siebie czapkę, jakby próbował zlokalizować jej ucho. Przyciska usta do jednego z nauszników i mówi cicho:

– Mason.

Spoglądam na Joego z zaskoczeniem. Podziałało. Sama znajomość imienia chłopca jest kluczowa w ustaleniu, kim była kobieta w parku, i w znalezieniu krewnych Masona. Joe uśmiecha się z dumą.

Godzinę później Mason zjadł śniadanie, Joe pojechał, za to pojawiła się Martha Renner. Staram się jak najlepiej wytłumaczyć Masonowi, że Martha chce pomóc i że u niej w domu będzie mógł się pobawić z innymi miłymi dziećmi. Mason ma minę wyrażającą wielki zawód. Przekazywanie dziecka z jednych rąk do drugich nigdy nie jest łatwe, nawet dla mnie, doświadczonego opiekuna socjalnego, który bez przerwy w tym uczestniczy.

– Jak się miewa Jonah? – pytam Marthę, która zapina Masona w foteliku w swoim SUV-ie.

Kobieta kręci głową z westchnieniem.

– Nie najlepiej. Nie skończył szkoły w zeszłym roku. Cały czas mu mówię, żeby podszedł do matury. Pracuje z przerwami dla firmy budowlanej. Mieszka z kolegami przy Laurel Street.

– Powiesz mu, że go pozdrawiam? – Wtykam głowę na tylne siedzenie samochodu. – Do zobaczenia, Mason. Obiecuję.

Chłopiec poważnie kiwa głową i przytula do siebie Cujo.

Kiedy odjeżdżają, zdaję sobie sprawę, że zostawiłam swój samochód w parku Singera. Adam zaczął już lekcje, ale wysyłam mu esemesa, że wszystko dobrze i że dam radę odebrać dzieci ze szkoły i od opiekunki. Zastanawiam się, jak mogę dostać się do parku. To prawie pięć kilometrów stąd – mogę tam pójść albo zadzwonić do Joego. Choć uważam go za jednego z moich najlepszych przyjaciół, czasem mam wrażenie, że chciałby, byśmy byli kimś więcej. Jego rozwód po dziesięciu latach małżeństwa był prawdziwym szokiem – żona zostawiła go dla ich księgowego. Joe do dziś jeszcze się z tego nie podniósł. Wiem, że jest samotny, i często mówi mi, że Adam i ja mamy wszystko – silny związek, piękne dzieci, dom, idealne życie. Zachęcam Joego, by częściej wychodził, a nawet próbowałam umówić go na randkę z koleżanką

z wydziału i nauczycielką matematyki z liceum Adama, ale nic z tego nie wychodzi.

– Hej – mówię, kiedy odbiera telefon. – Nie mam jak wydostać się ze szpitala i miałam nadzieję, że mógłbyś podrzucić mnie do parku, bo tam zostawiłam auto.

– Myślę, że dam radę – odpowiada – ale będziesz mi winna przysługę.

Śmieję się.

– Okej. Skoczę do kawiarni po drugiej stronie ulicy i kupię ci kawę.

– Dzięki, ale nie to miałem na myśli. Wytłumaczę ci, kiedy się zobaczymy. Będę za piętnaście minut.

Dziękuję mu, zastanawiając się, w jaki sposób miałabym mu pomóc. Zasuwam kurtkę, wciągam czapkę na uszy i wychodzę na zewnątrz. Niebo jest szare, a zimne poranne powietrze, kiedy robię wdech, szczypie mnie w płuca. Przebiegam na drugą stronę ulicy i zamawiam dużą czarną kawę dla Joego, gorącą czekoladę dla siebie i dwa muffiny z jagodami. Joe parkuje przy krawężniku w chwili, gdy odbieram zamówienie. Idę zygzakiem po oblodzonej jezdni, ostrożnie balansując dwoma parującymi kubkami i torbą z muffinami, po czym wsiadam do auta.

– Mason jakoś przetrwał? – pyta, biorąc ode mnie kawę, i częstując się muffinami.

– Tak. Był dość zagubiony, ale Martha to profesjonalistka. Zajmie się nim. Nikt jeszcze nie zgłosił zaginięcia kobiety i dziecka?

– Nie, ale ktoś już przekopuje miejscowe akty urodzenia i próbuje namierzyć dokumenty chłopca, który przyszedł na świat cztery lata temu i ma na imię Mason.

– To może trochę potrwać – mówię, małymi łykami popijając gorącą czekoladę.

– Nie tyle, ile sądzisz. Wszystko jest teraz skomputeryzowane. Wpisujesz tylko imię do systemu, a on sam przesiewa dane.

– Chyba że Mason nie urodził się w tym hrabstwie – przypominam mu. Joe skinieniem głowy przyznaje mi rację. – A co do przysługi…

– Jeszcze na to nie pora – mówi Joe tajemniczo. – Chcę sprawdzić parę rzeczy, zanim zacznę wyciągać wnioski.

– Ale jakie wnioski? – dopytuję, podczas gdy Joe zatrzymuje się koło mojego vana.

Odwraca się do mnie i przygląda mi się z namysłem.

– Nie powinienem nic jeszcze mówić. To tylko przeczucie. Daj mi jeszcze trochę popracować, a może wtedy poproszę cię o pomoc.

Coś w jego zaciśniętej szczęce i zmartwionych oczach sprawia, że więcej nie naciskam.

– W porządku – mówię, klepiąc go po ramieniu. – Dzięki za podwiezienie. Zadzwonisz do mnie, jeśli dowiesz się czegoś o tożsamości tej kobiety albo krewnych Masona? – Przytakuje, a ja wysiadam z auta i szybko chowam się w swoim vanie, gdzie od razu przekręcam kluczyk w stacyjce i włączam ogrzewanie na maksimum. Joe czeka, aż odmarznie mi lód na przedniej szybie, i kiedy podnoszę dłoń na znak, że jestem gotowa do drogi, odjeżdża.

Mam wszelkie powody, aby odjechać od razu za Joem, ale coś trzyma mnie na miejscu. Park jest opustoszały. Wszystkie wozy ratunkowe i personel, który był tu wczoraj w nocy, dawno się rozpierzchły i pozostał tylko kawałek taśmy, który zaplątał się o gałąź krzaku – poszarpana żółta wstążka, która unosi się i opada z każdym podmuchem wiatru.

Nie wyłączając silnika, opuszczam ciepłe wnętrze samochodu i z powrotem wychodzę na zimne powietrze. Podchodzę do marmurowej figury w kolorze tej samej cętkowanej bieli co śnieg u jej stóp. Nie wiem zbyt wiele o wykonanej po mistrzowsku figurze, ale z tabliczki przytwierdzonej do cokołu, która po latach oddziaływań żywiołów jest niemal nieczytelna, potwierdzam, że artysta stworzył ją na podobieństwo greckiej bogini Leto. Tu Leto ma prawie trzy metry i twarz zwróconą w stronę dwójki swoich dzieci, stojących u jej stóp. W jakiś sposób artysta zdołał oddać na twarzy posągu minę pełną uwielbienia. Dzieci patrzą na swoją matkę z pełną uwagą, jak gdyby bogini wyjawiała im sekret wszechświata. Chciałabym, aby matki, z którymi pracuję, częściej patrzyły na swoje dzieci w taki sposób – jak gdyby nie było na

świecie nic cenniejszego niż one. Nie chodzi o to, że nie kochają swoich dzieci, ale coś im przeszkodziło w opiece nad nimi – chłopak, alkohol, narkotyki. Czasem życie tak je zahartowało, że nie są w stanie wyrazić takiej miłości. Nie wiem. Nagle, nawet w świetle dnia, w parku zaczyna panować upiorna atmosfera. Nie słychać nic poza wyciem wiatru.

W odstępie trzynastu lat w tym samym parku i pod tym samym posągiem znaleziono dwie martwe kobiety, każdą z dzieckiem przy boku, któremu nie stała się krzywda. Zaczynam szczękać zębami, nie tylko z powodu temperatury. To mógłby być dziwny zbieg okoliczności, ale nie wydaje mi się.

Czuję na sobie ciężar czyjegoś spojrzenia i zaczynam się rozglądać. W oddali, za gęstwiną hikor, stoi samotna postać ubrana w luźną bluzę, z kapturem na głowie. Mężczyzna, myślę, ale to wszystko, co jestem w stanie ustalić. Jego twarz zasłania cień drzew. Serce zaczyna łomotać mi ze strachu, więc pospiesznie wracam do auta i zamykam wszystkie drzwi. Szybko odjeżdżam, a nieznajomy mężczyzna chowa się między drzewami.

Do czasu aż wjechałam na swoją ulicę, wcześniej odebrawszy Avery od opiekunki, zdążyłam się już nieco uspokoić i wytłumaczyć sobie, że to na pewno był tylko ciekawski przechodzień. Żaden morderca nie byłby na tyle głupi, aby wrócić na miejsce zbrodni, zapewniam siebie w duchu, ale obiecuję sobie, że powiem Joemu o tym dziwnym spotkaniu.

Karmię Avery, zachwycając się tym, jaka jest maleńka, jak ospale się przeciąga i jak jej małe piąstki wyglądają niczym delikatne różowe tulipany, kołyszące się na wietrze. Jest taka piękna, a wiem z doświadczenia, jak szybko rosną dzieci. Chcę nadal na nią patrzeć, ale nagle dopada mnie zmęczenie, więc kładę Avery do łóżeczka, nastawiam budzik na piętnastą, żebym mogła odebrać ze szkoły Leah i Lucasa, i kładę się spać.

Choć próbuję, nie jestem w stanie zasnąć. Obrazy martwych kobiet, leżących pod figurą w parku, bez przerwy pojawiają się w mojej głowie. Dwie kobiety w ciągu trzynastu lat. Jak to możliwe, by był to czysty przypadek?

Trzynaście lat temu, w dzień, w którym poznałam Jonaha, otrzymałam telefon od funkcjonariusza na służbie, dotyczący nieżyjącej kobiety i jej synka, znalezionych w parku rzeźb. Pierwsze pytanie, jakie zadałam po tym, jak upewniłam się, że chłopcu nic nie jest, brzmiało, czy znają jego imię.

– Kobieta nie ma przy sobie portfela, żadnego dowodu tożsamości, tylko plecak z kilkoma ubraniami. Dziecko nic nie mówi. Prawdopodobnie nie mieli stałego adresu. Jest nikim, tak samo dziecko – niefrasobliwie odpowiedział mi policjant. – Kiedy może pani przyjechać?

Musiałam przełknąć kąśliwą odpowiedź, jaka cisnęła mi się na usta wobec bezdusznego funkcjonariusza, ale nauczyłam się, nawet na tak wczesnym etapie mojej kariery, że muszę myśleć perspektywicznie. Przyjdzie pora, że będę potrzebowała pomocy tego funkcjonariusza, więc najlepiej go nie rozwścieczać.

– Ktoś musi przecież wiedzieć, kim jest – powiedziałam. – Będę za dwadzieścia minut. Kiedy dojechałam na miejsce zbrodni, zobaczyłam coś niepokojąco podobnego do tego, czego byłam świadkiem dziś rano. Choć zajęło to trochę czasu, chłopak w końcu powiedział nam swoje imię i nazwisko oraz wszystko, co wiedział o matce. Jonah Sharpe miał pięć lat, a jego mama miała na imię Nell. Zaledwie kilka dni wcześniej przyjechali do Cedar City. Przybyli z miasta o nazwie Franklin. Na początku byliśmy pełni optymizmu. W Iowie, a dokładnie w jego odległej południowo-wschodniej części, istniało takie miasto, nie było tam jednak śladu po Nell i Jonahu Sharpe'ach. Szybko przekonaliśmy się, że w Stanach Zjednoczonych jest przynajmniej dwadzieścia pięć miast o takiej nazwie. W końcu natrafiliśmy na kilka nakazów aresztowania dotyczących Nell. Spożywanie alkoholu w miejscach publicznych, posiadanie narkotyków, zaniedbywanie obowiązków rodzicielskich. Nie znaleziono żadnych krewnych. Nell została pochowana na cmentarzu w Cedar City, a za jej nagrobek zapłaciła jakaś miejscowa organizacja kobieca. Jonah stał się dzieckiem systemu opieki, z którego nigdy się nie wydostał.

Rezygnuję ze snu, odrzucam pościel i schodzę do kuchni. Nadal mam godzinę, zanim będę musiała pojechać po dzieci. Wyciągam kubek z szafki i nastawiam na herbatę. Podczas gdy czekam, aż woda się zagotuje, wyciągam laptopa. Najpierw wyszukuję w Google Nell Sharpe i wyskakują trzy linki do artykułów z naszej lokalnej gazety. Klikam na pierwszy wynik i wyświetla mi się artykuł opublikowany następnego ranka po morderstwie, opatrzony zdjęciem z miejsca zbrodni. Jest to zdjęcie małego, zagubionego chłopca, który kurczowo trzyma za rękę równie wstrząśniętą młodą opiekunkę socjalną. Mnie. Towarzyszący tekst donosi, że morderstwo miało najprawdopodobniej związek ze sprzedażą narkotyków albo rabunkiem. Zawsze w to wątpiłam. Jonah nie chciał, a może nie potrafił opowiedzieć nam szczegółów zdarzenia. Wiedział tylko, że jego matka nie żyje i nigdy nie wróci.

Wiem, że dzisiejsza poranna gazeta nie będzie opisywać szczegółów ostatniego morderstwa, ale czasem internetowa wersja „Kuriera Cedar City" podaje najświeższe wiadomości. Po kilku kliknięciach doszukuję się tylko sprawozdania, iż w parku Singera znaleziono ciało. Nie ma wzmianki o zabójstwie albo chłopcu. Gwizdek czajnika wyrywa mnie z zamyślenia i wyłączam gaz, wlewam wrzącą wodę do kubka i bezwiednie maczam torebkę herbaty w wodzie. Biorę kubek i talerz krakersów, które posmarowałam masłem orzechowym, do salonu, siadam na kanapie i włączam telewizor, przeplatając łyki herbaty z kęsami krakersów, jednocześnie czekając na raport o morderstwie na lokalnym kanale.

Dzwoni stacjonarny telefon, a ja podskakuję ze strachu na kanapie i spoglądam na zegarek, bojąc się, że straciłam poczucie czasu i zapomniałam pojechać po Leah i Lucasa. Czternasta czterdzieści pięć. Oddycham z ulgą. Mam jeszcze kwadrans, zanim zadzwoni ostatni dzwonek.

– Halo? – mówię.

– Jesteś w domu? – To Adam.

– Jestem w domu – mówię, ciesząc się na dźwięk znajomego głosu mojego męża.

– Musisz być zmęczona – mówi ze współczuciem. – Będę o szóstej. Obiecuję.

Żegnamy się, a następnie idę na górę po Avery. Żałuję, że muszę znów brać ją na mróz, ale tak niestety wygląda życie trzeciego dziecka. Trzeba wszędzie je ze sobą wozić, stałe pory drzemek to marzenie, a smoczków nie parzy się już, kiedy spadną na podłogę, tylko bezceremonialnie z powrotem pakuje się je w usta dziecka. Kiedy wchodzę do pokoju, Avery wesoło gaworzy w swoim łóżeczku. Zmieniam jej pieluchę, upewniam się, że jej legginsy i bluzka z długim rękawem przykrywają wszystkie fragmenty ciała, naciągam jej czapkę na uszy, zapinam w foteliku i aż po brodę otulam ciepłym kocem.

Szkoła Leah i Lucasa jest tylko sześć przecznic od naszego domu, ale nie pozwalam jeszcze, aby sami pokonywali dziesięciominutową trasę do domu. Wiem, to głupie. Jest mnóstwo dzieci, które chodzą do domu same, ale Leah jest dopiero w trzeciej klasie, a Lucas w zerówce. Lepiej niż inni wiem, ile rzeczy może przydarzyć się dziecku.

Zregenerowana dzięki ośmiu godzinom snu, przerwanych tylko raz, by nakarmić Avery, zjawiam się w biurze Wydziału Służb Społecznych i sprawdzam swoje notatki na temat sprawy o odebranie praw rodzicielskich, w której mam zeznawać później tego samego popołudnia. Robię wszystko, aby pomóc rodzinom trzymać się razem. Ale raz na jakiś czas nie można okazać wyrozumiałości dla lekkomyślnych, czasem nawet z gruntu złych czynów rodziców, i na zawsze tracą oni swoje dzieci.

Rozlega się delikatne pukanie do drzwi biura i kiedy podnoszę wzrok, widzę Joego w towarzystwie mniej więcej pięćdziesięcioletniej kobiety. Ma spuchnięte, czerwone oczy, zapłakaną twarz i otulona pikowaną tkaniną śliwkowego płaszcza, sięgającego do kostek, wydaje się bardzo drobna.

– Dzień dobry, Ellen, przedstawiam ci Judith Newkirk. A to właśnie Ellen Moore, opiekun socjalny, o której opowiadałem.

– Proszę mi mówić Judith.

– Miło mi – mówię i podaję jej rękę. Jej palce są chude i zimne. Posyła mi niepewny uśmiech, choć widzę, że próbuje powstrzymać łzy.

– Proszę usiąść. – Wskazuję dwa sfatygowane krzesła, które zdołałam wcisnąć do ciasnego gabinetu. – Jak mogę pomóc? – pytam, gdy już się rozsiądą.

– Pani Newkirk zadzwoniła dziś na komisariat, mówiąc, że od poniedziałku po południu, od około trzynastej, nie może się skontaktować ze swoją córką Marissą Newkirk i jej synkiem Masonem. – Zasycha mi w ustach i spoglądam na Joego, szukając ratunku. Joe odchrząkuje. – Pani Newkirk zidentyfikowała kobietę znalezioną w parku jako Marissę. – Judith wydaje z siebie ochrypły jęk.

– Bardzo mi przykro – mówię, instynktownie sięgając po dłoń kobiety. Po jej pochylonej twarzy spływają dwie łzy i spadają z pluskiem na moje palce.

Po kilku chwilach Judith opanowuje się i zaczyna szukać czegoś w torebce, aż wyciąga sfatygowany portfel. Trzęsącymi się palcami wysuwa zdjęcie z foliowej przezroczystej kieszonki i podaje mi je.

– Możecie mnie do niego zabrać? – pyta ochrypłym głosem. Spoglądam na zdjęcie. To Mason i jego mama – Marissa. W końcu ma swoje imię. Oboje uśmiechają się szeroko do obiektywu. Znów spoglądam na Joego, szukając potwierdzenia, że ta kobieta na pewno jest matką Marissy i babcią Masona. Niemal niezauważalnym skinieniem przytakuje.

– Oczywiście – mówię. – Oczywiście, zaraz go do pani przywieziemy.

Odprowadzam Judith do odosobnionej sali konferencyjnej i wyjaśniam, że po wypełnieniu kilku formularzy będzie mogła zobaczyć się z wnukiem.

Joe i ja wracamy do mojego biura i zamykam za nami drzwi.

– Nie mogę uwierzyć, że znalazłeś ją tak szybko.

Joe pociera twarz wielką dłonią.

– Właściwie to ona znalazła nas. Nie mieliśmy wiele szczęścia w przeszukiwaniu bazy aktów narodzin. Marissa pochodziła ze

Sioux City. Tam teraz mieszka jej matka.

– Sioux City? – pytam zaskoczona. – To jakieś pięć godzin stąd. Jak to się stało, że tak szybko tu dotarła? – Zerkam na zegarek. Jest dopiero pierwsza trzydzieści.

– Kiedy nie mogła skontaktować się z Marissą, po prostu wsiadła do samochodu. Mówi, że pojechała do jej mieszkania, ale nikt jej nie otworzył, więc od razu zgłosiła się na policję.

– Wtedy zidentyfikowała Marissę? – Joe ponuro potakuje.

– Nie sądzę, bym mógł wyobrazić sobie coś boleśniejszego dla matki. – Myślę o własnych dzieciach i szybko odsuwam niechciane obrazy.

– A co z ojcem Masona?

Joe ściąga zimową kurtkę i przewiesza ją przez oparcie krzesła, zanim usiądzie.

– Po identyfikacji zwłok byliśmy w stanie zlokalizować kopię aktu urodzenia Masona. Ojciec nieznany.

– Więc Judith jest najbliższą krewną. – Myślę o Jonahu Sharpie i jego krętej drodze przez system adopcyjny. Czekanie, marzenie o rodzinie, która przyjmie go do siebie. To się nigdy nie stało.

– Bogu dziękować, że się zgłosiła. Przynajmniej Mason będzie z babcią.

Wykręcam numer do Marthy Renner, tłumaczę jej, na czym polega sprawa, i pytam, czy mogłaby przywieźć Masona do biura.

– A teraz, skoro wiemy, kim jest Marissa, miejmy nadzieję, że będziemy mogli wyjaśnić, kto ją zabił – mówi Joe, kiedy odkładam słuchawkę. – Wysłaliśmy forensyków do jej mieszkania, a kilku funkcjonariuszy rozmawia z sąsiadami. – Joe wstaje, przeciąga ramiona nad głową i ziewa.

– Spałeś choć trochę? – ganię go.

– Już niedługo jadę do domu. – Milknie na chwilę, po czym otwiera drzwi gabinetu. – Musimy raz jeszcze spróbować porozmawiać z Masonem o tym, co widział albo słyszał tamtej nocy. Na razie jest jedynym świadkiem morderstwa matki.

– Ma tylko cztery lata – przypominam mu. – I ma uraz psychiczny. Może nie być w stanie powiedzieć czegokolwiek użytecznego.

– Musimy spróbować. – Joe waha się. – Mason wydaje ci się ufać. Myślisz, że mogłabyś jeszcze raz z nim porozmawiać?

– Postaram się.

Idziemy wąskim korytarzem w stronę sali konferencyjnej, gdzie czeka pani Newkirk.

– Wczoraj, kiedy podwiozłeś mnie do parku, widziałam kogoś.

Joe spogląda na mnie i unosi brwi w wyrazie troski.

– Co widziałaś? Jak wyglądał?

– Ja… Widziałam go tylko przez chwilę – jąkam się. – Jestem niemal przekonana, że to był mężczyzna. Stał za drzewami. Zobaczyliśmy się nawzajem i oboje zaczęliśmy uciekać.

– Uciekać? – pyta Joe. – Kiedy cię zostawiłem, siedziałaś w vanie.

– Wysiadłam tylko na chwilę – mówię cicho. – Chciałam popatrzeć na posąg. – Joe nic nie mówi. Jego chmurna mina wyraża wszystko. – Po prostu nie mogę przestać myśleć o tym, że dwie matki z małymi dziećmi zostały odnalezione martwe pod tym samym posągiem, i to w dodatku takim, który przedstawia matkę i jej pociechy.

– Wysiadłaś ze swojego vana, całkiem sama, w miejscu, gdzie znaleziono brutalnie zamordowaną kobietę? – Joe wpycha dłonie w kieszenie i zaczyna z wściekłością chodzić po korytarzu tam i z powrotem. – Odbiło ci? Przecież morderca jest na wolności.

– Byłam całkowicie bezpieczna – protestuję. – Ktokolwiek to był, bał się mnie tak samo jak ja jego.

– Dokładnie. – Głos Joego podnosi się o oktawę, więc obniża go do niskiego półszeptu. – Teraz ewentualny morderca wie, jak wyglądasz i czym jeździsz. A co najgorsze, wie, że go widziałaś na miejscu zbrodni i możesz go zidentyfikować.

Nie wiem, jak na to odpowiedzieć. Joe ma absolutną rację. Zrobiłam coś bardzo głupiego, ale zamiast tego unoszę brodę z udawaną pewnością siebie i otwieram drzwi do sali konferencyjnej, w której czeka Judith.

– Mason będzie tu niedługo, Judith. Może w tym czasie czegoś się napijesz?

Godzinę później do sali konferencyjnej wchodzi Martha i ospały Mason z czapką Joego pod pachą. Jego oczy błądzą po nieznajomym pokoju, aż natykają się na babcię, która czeka, zaciskając dłonie z nerwów.

– Babcia! – z radością krzyczy chłopiec, wyrywa się Marcie i wpada w otwarte ramiona Judith.

– Mason, Mason – płacze kobieta i z wysiłkiem bierze go na ręce. – Bogu dziękować, że nic ci nie jest – szepcze łamiącym się głosem, wtulając twarz w jego ciemne włosy.

– Zostawimy was razem na chwilę – mówię i wyprowadzam Marthę i Joego z pomieszczenia.

– Szczęśliwe zakończenie – mówi Martha, kiedy już jesteśmy na korytarzu.

– Tak. Przydałoby się ich jak najwięcej – dodaję.

Na chwilę wszyscy pogrążamy się we własnych myślach, aż Joe wypala ni stąd, ni zowąd.

– Opowiedz mi o Jonahu Sharpie, Martho. – Spoglądam na Joego skonsternowana, ale on mówi dalej. – Kiedy ostatnio go widziałaś?

– Niech się zastanowię – mówi kobieta, stukając palcem w brodę, próbując sobie przypomnieć. – To było dwa tygodnie temu. Wpadł do nas na obiad. Robi to raz na jakiś czas. – Nagle między jej brwiami pojawia się zmarszczka. – Dlaczego pytasz? Ma jakieś kłopoty? Oboje pytaliście mnie o Jonaha. Uważacie, że morderstwa matki Jonaha i matki Masona mają ze sobą coś wspólnego?

Już mam wyjaśnić podobieństwa pomiędzy sprawami morderstw matek chłopców, ale Joe posyła mi ostrzegawcze spojrzenie.

– Tylko się zastanawiamy – mówi obojętnym tonem. – Słyszę jego nazwisko raz na jakiś czas. Gdzie on teraz mieszka?

– Ostatnio przy Laurel Street. – Martha zerka przez okienko do sali konferencyjnej. – Nie będziecie mieli nic przeciwko, jeśli wejdę do środka pożegnać się z Masonem? To taki kochany dzieciak.

– Pewnie, że nie – mówię jej. – Raz jeszcze dziękuję za twoją gotowość pomocy. Jesteś niesamowita.

Kiedy Martha wraca do sali konferencyjnej, odwracam się do Joego.

– Co to niby miało być?

Joe waha się, zanim coś powie.

– Jonah Sharpe mieszka tuż obok mieszkania Marissy Newkirk i trzy przecznice od parku Singera.

Jestem nieco poruszona tymi informacjami. Nie żebym uważała, że Jonah ma coś wspólnego ze śmiercią Marissy, ale że w zaistniałych okolicznościach chciał mieszkać tak blisko miejsca, gdzie znaleziono zwłoki jego matki.

– To nie dowodzi, że zrobił coś takiego – odpowiadam gniewnie. Nie mogę już powiedzieć, że dobrze znam Jonaha, ale kiedy byłam jego opiekunem, rozmawialiśmy kilka razy w tygodniu. – Miał pewne problemy, ale to nie jest złe dziecko. Gdyby zamordowano twoją matkę, a ty zostałbyś sierotą, pewnie też miałbyś w sobie dużo złości.

Joe podnosi dłoń, starając się mnie ułagodzić.

– Nie mówię, że kogoś zabił, Ellen. Mówię tylko, że musimy być wnikliwi.

– Ach, tak, twoje przeczucie – mówię, przypominając sobie o przysłudze, którą Joe sobie zarezerwował u mnie za podwiezienie do vana. – Co chcesz, żebym zrobiła?

– Chodzi o to, czego masz nie robić. Nie spłosz Jonaha. Chcę z nim jedynie porozmawiać.

– I chcesz, żebym was razem umówiła. – Joe spogląda na mnie wyczekująco. – Nie ma szans. – Składam ręce na piersi w obronnym geście. – Jonah całe życie dostaje cięgi. Nie nadużyję jego zaufania, wystawiając go glinom pod jakimiś fałszywymi pozorami.

– Hej, nie proszę cię, żebyś wprowadzała go w błąd albo kłamała.

– Nie zrobię tego, Joe – powtarzam. – Nie ma mowy.

– Okej, okej, rozumiem – mówi Joe, podnosząc dłonie do góry w geście kapitulacji. – Czy mimo wszystko porozmawiasz

z Masonem, zanim babcia zabierze go do Sioux City?

– Jasne – mówię niskim głosem. Wiem, że Joe próbuje tylko wykonywać swoją pracę. Próbuje dowiedzieć się, kto zabił matkę Masona.

Kiedy wchodzimy do sali konferencyjnej, Martha kończy pożegnanie i gładzi Masona po głowie.

– Trzymaj się, maluchu.

Po jej wyjściu zwracam się do Judith.

– Jeśli pozwolisz, chciałabym zadać Masonowi kilka pytań na temat tamtej nocy.

– Myślisz, że to dobry pomysł? – Judith z troską spogląda na Masona, który siedzi na podłodze i przegląda pudło z zabawkami, jakie trzymamy tu na takie właśnie okoliczności, nie oddalając się zbytnio od Cujo.

– To mogłoby bardzo pomóc w ustaleniu, co stało się Marissie – mówi Joe.

– To jeszcze dziecko, nie wydaje mi się, aby był w stanie powiedzieć wam cokolwiek, ale jeśli uważacie, że to może pomóc… – odpowiada Judith niepewnie. – Chyba nic w tym złego.

Siadam na podłodze koło Masona.

– Cześć – mówię. – Mogę się z tobą pobawić?

Pogrążony w zabawie malec jeździ jaskrawoczerwonym sportowym resorakiem po wykładzinie. Sięgam do kosza i wyciągam z niego małą karetkę.

– Mason, pamiętasz może, jak jechaliśmy razem karetką? – Chłopiec na chwilę zatrzymuje autko, po czym kieruje samochód w przeciwną stronę, wydając z siebie cichutkie odgłosy udające silnik, odwraca się do mnie plecami. Nie zmieniam pozycji i mówię kojącym cichym głosem.

– Pamiętasz, co jadłeś wtedy na kolację? Zanim znalazłeś się w parku?

Mason przystaje i odwraca się do mnie.

– Makaron z serem i soczek.

Pani Newkirk uśmiecha się pod nosem.

– Przysięgam, ci dwoje jedzą śmieci na każdy posiłek.

Myślę o paluszkach rybnych, które zaserwowałam swojej rodzinie poprzedniego wieczoru i wzdrygam się w sobie.

– Czyli zjadłeś makaron z serem i popiłeś soczkiem. A co zrobiłeś potem?

Mason zastanawia się.

– Potem był czas spać.

– Okej. – Stopniowo przysuwam się bliżej niego. – Zjadłeś makaron z serem i poszedłeś spać. A potem co się stało?

Buzia Masona pochmurnieje.

– Myślę, że tyle wystarczy – zaczyna przerywać pani Newkirk, ale Mason mówi dalej.

– Usłyszałem, że mamusia płacze, więc wstałem z łóżka. – Dolna warga Masona drży. – Było ciemno.

– Myślisz, że mamusia płakała przez kogoś? – pytam.

– Naprawdę uważam… – mówi pani Newkirk, ale Joe unosi palec, żeby ją uciszyć.

Mason kiwa głową.

– Widziałeś, kto to był? – pytam, wstrzymując oddech.

Mason przecząco kręci głową.

– Czy ta osoba zrobiła mamusi krzywdę? – Mason ma zmieszaną minę.

– Czy widziałeś tę osobę?

Ponownie zaprzecza.

– Lekarstwo.

– Lekarstwo? – Teraz to ja jestem skonsternowana. – Byłeś chory? Mamusia dała ci lekarstwo i kazała wrócić do łóżka? – pytam. – Czy to mama dała ci lekarstwo?

Kiwa głową.

– Potem wyszła, a ja zrobiłem się senny.

– Twoja mama i ta osoba, przez którą płakała, czy one wyszły razem? – Mason znów kręci głową na nie.

Odwracam się do Joego.

– Może Marissa rozmawiała z kimś przez telefon. – Znów skupiam się na Masonie:

– Pamiętasz, kto założył ci czapkę i szalik? Pamiętasz, kto zabrał cię do parku? – Brak odpowiedzi. – Mason, czy pamiętasz,

żeby w parku ktoś zrobił krzywdę mamusi? Cokolwiek zauważyłeś? – Mason krzywi buzię, próbując się skupić, coś sobie przypomnieć.

– Czarne buty – mówi w końcu. – Z futerkiem.

– Ta osoba miała czarne buty z futerkiem?

Mason kiwa głową.

– I pasek – dodaje.

– Pasek? – powtarzam. – Jak ten, który mam na sobie? – Pokazuję na pasek wokół mojej talii. Mason kręci główką na nie. Wtedy do mnie dociera.

– Czy buty miały sprzączkę? Pokażesz mi gdzie? – Mason pokazuje na kostkę. – Widziałeś coś jeszcze? Widziałeś twarz tego kogoś?

Mason kręci głową i znów zaczyna przeczesywać kosz z zabawkami, zdeterminowany, żeby nie odpowiedzieć na żadne z moich kolejnych pytań. W ten sposób kończy przesłuchanie.

Wzruszam ramionami w geście bezradności.

– Przykro mi, Joe. Nie wiem, na ile pomocna się okazałam.

– Każda najdrobniejsza informacja ma znaczenie. – Joe pokrzepiająco klepie mnie po ramieniu.

– Możemy już iść? Skończyliśmy? – pyta Judith.

– Jeśli chodzi o Wydział Służb Społecznych, to jest pani najbliższą krewną Masona i ma pani prawo do pełnej opieki. Możemy mieć jeszcze jakieś uzupełniające pytania. Jesteśmy w kontakcie i będziemy informować o rozwoju śledztwa.

Pani Newkirk wyciera oczy.

– Nadal muszę posprzątać mieszkanie Marissy, spakować jej rzeczy.

– Poinformuję forensyków – życzliwie mówi Joe. – Ponieważ jako najbliższa rodzina dała im pani zgodę na wejście do mieszkania, sprawdzą mieszkanie w ciągu kilku godzin. Jeśli nie znajdą śladów, które wskazywałyby, że tam właśnie dokonano zbrodni, będzie się pani mogła do niego dostać nawet jutro.

– Jestem przekonana, że właściciel budynku wykaże zrozumienie i da pani tyle czasu, ile będzie trzeba, by spakować rzeczy Marissy – zapewniam ją.

– Nie. – Kręci głową, płacząc. – Najlepiej mieć to już za sobą. Mason i ja zatrzymamy się w hotelu, a mieszkaniem zajmę się jutro. Wrócimy do Sioux City najszybciej, jak to możliwe.

Wracamy razem z Joem do naszych samochodów. Ja mam jechać na złożenie zeznań, a Joe wraca na posterunek.

– Uważasz, że ktoś zadzwonił do Marissy i powiedział, żeby spotkali się w parku?

– Brzmi logicznie, tylko dlaczego by wyszła bez butów i kurtki? – dodaje Joe. Zapomniałam o tym szczególe.

– I dlaczego dała Masonowi lekarstwo na sen, a potem zabrała go na przenikliwy mróz. Pewnie nie chciała, żeby Mason wiedział, gdzie idą i z kim mają się spotkać.

– Słuchaj – mówi Joe, kiedy docieramy do vana. – Może spotkamy się później, żebyśmy mogli o tym dłużej porozmawiać? Cały czas mam wrażenie, że morderstwa Nell Sharpe i Marissy jakoś się łączą.

– Jasne. Wpadniesz dziś do nas na obiad? Zobaczysz się z Adamem i dzieciakami.

– Wiesz, że zawsze chętnie was odwiedzam, ale autopsja Marissy odbyła się dziś rano, a ja mam się spotkać z biegłym w sprawie jego ustaleń. Nie sądzę, żeby dla Leah i Lucasa to był dobry temat przy obiedzie.

– Muszę porozmawiać z Adamem, ale nie powinno być problemu. Gdzie się widzimy? – pytam. Zanim Joe pojedzie na spotkanie z koronerem, a ja udam się do sądu, umawiamy się w Blue Moon Cafe przy Dodge Street o szóstej.

Przesłuchanie w sprawie odebrania praw rodzicielskich jest jak zwykle brutalne, ale dla mnie to nic nowego. Moją jedyną nadzieją jest to, że dwoje rodzeństwa zostanie umieszczone w tej samej rodzinie zastępczej, a ostatecznie zaadoptowane przez jednych rodziców. Zahaczam o szkołę podstawową i odbieram Leah i Lucasa, którzy w drodze do opiekunki Avery na przemian szczebioczą radośnie i głośno o swoim szkolnym dniu. Kiedy jesteśmy w domu, sypię trochę minimarchewek do plastikowej

miseczki i nalewam szklanki mleka dla Lucasa i Leah, a sama siadam z Avery na kanapie, żeby ją nakarmić, jednocześnie wybieram numer Adama, mając nadzieję, że złapię go przed treningiem drużyny koszykówki. Odbiera po pierwszym sygnale.

– Cześć – mówię. – O której kończysz dziś trening?

– Trening? El, gramy dziś mecz. Właśnie jedziemy autobusem do Waterloo. Nie wrócimy przed północą.

– No tak – mówię przepraszającym tonem. – Zapomniałam. Mam po prostu kilka nagłych spraw związanych z pracą. Zadzwonię do mamy i zapytam, czy mogłaby przyjechać.

Kończymy rozmowę, zanim zdołam się zastanowić, dlaczego nie powiedziałam Adamowi, że z tymi nagłymi sprawami wiąże się także Joe. Dzwonię do mamy, która z radością godzi się popilnować mi dzieci. Mój ojciec niedawno zmarł i mama nie najlepiej sobie z tym radzi. Czuję kłujące poczucie winy. Czasem mam taki kocioł, że całymi dniami ani nie odwiedzam jej, ani nie dzwonię, więc miło będzie ją zobaczyć.

Czekając na babcię, Leah i Lucas odrabiają lekcje przy stole w kuchni, a ja z Avery na rękach siedzę przed komputerem i szperam w internecie. Pierwszym hasłem, jakie wpisuję w Google, jest Leto, bogini, na kształt której stworzono rzeźbę w parku. Dowiaduję się, że Leto to bogini macierzyństwa, patronka dzieci. Była kochanką Zeusa i matką bliźniąt, Apolla i Artemidy. Była też znana jako bogini skromności. Trzynaście lat wcześniej jako nowicjuszka wśród opiekunów socjalnych przegapiłam te szczegóły, nie widząc związku pomiędzy Leto, matkami a Nell Sharpe. Czytam dalej i dowiaduję się, że bogini miała wielu wrogów: zazdrosną żonę Zeusa, olbrzymów i potwory. Dzieci Leto, Apollo i Artemida, były zręcznymi myśliwymi i często przybywały matce z odsieczą. Ciekawe, myślę, gładząc plecki Avery małymi, kolistymi ruchami. Pod posągiem bogini macierzyństwa znaleziono dwie nieżyjące matki. Zamordowane. To nie może być zbieg okoliczności. Seryjny morderca z obsesją na punkcie matek? Aż mimowolnie się wzdrygam, a Avery stęka z niezadowoleniem.

– Ciii – mówię. – Już dobrze.

Czy można mówić o seryjnym morderstwie, jeśli zbrodnie oddalone są od siebie o trzynaście lat? Może nie było tylko dwóch przypadków. Jedną ręką niezręcznie wystukuję na klawiaturze: *Cedar City, Singer, morderstwo*. Momentalnie na ekranie wyświetlają się setki rezultatów. Zaczynam je przewijać, ale szybko się poddaję. Jest ich zbyt wiele. Nie mogę uwierzyć, że w moim mieście doszło do tylu morderstw, ale szybko odkrywam swoją pomyłkę. W Stanach Zjednoczonych jest na pewno więcej niż jedno miasto o nazwie Cedar City i niejeden Singer. Poprawiam hasło na *Cedar City, Iowa, park Medwyna Singera, morderstwo* i dla pewności dodaję *Leto*.

Pojawiają się tylko dwa linki. Reportaż o morderstwie Nell Sharpe i artykuł o Marissie Newkirk z dzisiejszej gazety.

Rozbrzmiewa dzwonek. Lea i Lucas ścigają się do drzwi.

– Babcia! – krzyczą, a Avery spina rączki, przestraszona tym nagłym tumultem.

– Biedna Avery – szepczę do uszka córeczki. – Jak ty przeżyjesz z tymi dzikusami?

– Dzięki, że przyjechałaś, mamo – mówię, próbując ją przytulić, co utrudniają torby z zakupami, przewieszone przez jej nadgarstki, i naczynie żaroodporne z zapiekanką, które trzyma w dłoniach. W duchu odmawiam dziękczynną modlitwę za to, że mama przywiozła jedzenie. W domu mamy jedynie mrożoną pizzę, paluszki rybne z wczoraj i kilka pudełek makaronu z serem.

Mama mocno i przeciągle przytula Leah i Lucasa, po czym zwraca się do mnie.

– Zamieńmy się – mówi i w jakiś sposób bezpiecznie przekazuję jej Avery, a sama kończę z zapiekanką ziemniaczaną, świeżymi owocami i ciastem czekoladowym na rękach.

Ledwie pokażę mamie, gdzie trzymam butelki i pieluchy Avery, a ona już mnie wygania.

– Baw się dobrze – mówi.

– To nie zabawa, mamo – upominam ją. – To praca.

– Wiem, wiem, no to przynajmniej idź już i niech ja się trochę pobawię.

Dziękuję jej raz jeszcze i wkładając kurtkę, przystaję przed komputerem. Jednym palcem usuwam z wyszukiwarki pojedyncze słowo. Wyskakuje jeszcze jeden wątek. Mam to, myślę sobie, pobieżnie przebiegając artykuł wzrokiem i notując kilka kluczowych faktów na kawałku papieru. Trzecia kobieta.

Kiedy wchodzę do Blue Moon, Joe już na mnie czeka. Macha do mnie zza stolika w odległej części sali i pomaga mi ściągnąć płaszcz. Jest świeżo po prysznicu i jego włosy są jeszcze odrobinę wilgotne. Ubrany jest po cywilnemu w dżinsy i sweter. Nadal wygląda na wyczerpanego i jestem przekonana, że w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin spał bardzo niewiele.

Podchodzi do nas kelnerka, by przyjąć zamówienie na napoje. Joe zamawia piwo, i choć przyrzekłam sobie nie pić alkoholu, kiedy kelnerka przynosi butelkę i oszroniony kufel, też proszę o jedno. Kiedy zamawiamy dania, Joe pyta o dzieci i Adama, a ja o jego czarnego labradora, Hawkeye'a, aż w końcu wyciąga dwie cienkie teczki.

– Chcesz o tym porozmawiać przed czy po posiłku? – pyta. Doskonale wiem, do czego się odnosi – autopsji Marissy Newkirk.

– Nie traćmy czasu – mówię energicznym tonem, choć czuję, jak ściska mi się żołądek.

– Oto autopsja Nell Sharpe sprzed trzynastu lat – mówi Joe, podając mi pierwszą teczkę. Otwieram ją i czytam raport koronera znajdujący się na samym wierzchu.

Ciało kobiety rasy białej prawidłowo rozwinięte, wzrost: 171 centymetrów, waga: 53,5 kilograma; wizualnie spójne z oszacowanym wiekiem dwudziestu lat. Ciało zimne, niezabalsamowane. Plamy pośmiertne w dystalnych częściach kończyn. Oczy otwarte. Czas zgonu: Temperatura ciała, sztywność, plamy pośmiertne i treść żołądka wskazują na czas zgonu pomiędzy 22:30 a 00:30.

Bezpośrednia przyczyna zgonu: uderzenie tępym narzędziem. Charakter zgonu: morderstwo.

Pod raportem znajduje się kilka zdjęć, z których każde przedstawia martwą Nell z różnych perspektyw. Na niektórych ze

zdjęć wygląda, jakby po prostu spała, na innych brutalność śmierci jest nie do przeoczenia. Była taka młoda.

Wkładam zdjęcia z powrotem do teczki i sięgam po folder Marissy. Joe w milczeniu sączy swoje piwo, a ja czytam. Nie zajmuje mi to długo.

– Wydają się niemal identyczne – mówię, sięgając po swój kufel. – Wystarczyłoby zamienić nazwiska i datę, a i tak czytalibyśmy ten sam raport.

– To dość dziwne – przyznaje Joe.

– Wiem, ale w odstępie trzynastu lat? Co Marissa Newkirk miała wspólnego z Nell Sharpe? Ile mogła mieć, kiedy popełniono pierwsze morderstwo – sześć, siedem lat?

Kelnerka przynosi nasze burgery i frytki, a Joe szybko odsuwa foldery z wynikami autopsji.

– Sama zaczęłam trochę węszyć – mówię mu, wyciskając ketchup na talerz. – Nic niebezpiecznego, tylko poszukiwania w sieci – zapewniam go i wyjaśniam znaczenie figury Leto. – Rzeźba odegrała w tym najwyraźniej jakąś rolę. Leto to bogini macierzyństwa, a u jej stóp zamordowane zostają dwie kobiety z dziećmi.

– Możliwe – mówi Joe. – Nell i Marissa mają więcej wspólnego, niż nam się wydawało. Przyjrzałem się bliżej przeszłości Marissy i nie jest znów taka różowa.

– Co masz na myśli? Matka Marissy nie wspominała o żadnych problemach.

– Matki chronią swoje dzieci – mówi Joe. – A poza tym jest naprawdę załamana śmiercią córki. Pewnie chce myśleć tylko o jej dobrym obliczu. Według funkcjonariusza ze Sioux City, z którym rozmawiałem, Marissa lubiła imprezować. Jako nieletnia została aresztowana cztery razy za picie alkoholu, dwa razy za posiadanie marihuany, trzy razy za kradzież. Zaszła w ciążę z Masonem, kiedy miała szesnaście lat, rzuciła szkołę, zamieszkała z mamą, uciekała, kiedy się kłóciły, potem wracała. W końcu około półtora roku temu, kiedy miała dziewiętnaście lat, wzięła się w garść, skończyła szkołę i przeniosła się tu, żeby chodzić do miejscowego ośrodka kształcenia.

– Czy w Cedar City za coś ją aresztowano? – pytam, zaciekawiona.

– Nie, tu akta ma czyste jak śnieg. Od piętnastu miesięcy pracowała w sklepie z pamiątkami niedaleko sądu, a do szkoły uczęszczała przez miniony rok.

– Czyli wedle wszelkich źródeł obie ofiary miały burzliwą przeszłość. – Odsuwam talerz, nagle czując, jak przechodzi mi apetyt. – Nell była bezdomna i uzależniona od alkoholu oraz narkotyków, co wykazała autopsja, a Marissa uciekła z domu i przez jakiś czas nadużywała alkoholu i narkotyków. Obie były samotnymi matkami.

– Więc może zabójca ma coś przeciwko złym matkom? – sugeruje Joe.

Sięgam do torebki i wyciągam kawałek papieru z wynikami mojego wyszukiwania, napisanymi niedbałym charakterem pisma, i podaję go Joemu.

– Devin Fallon – odczytuje na głos. – Kto to taki?

Nachylam się bliżej i opieram łokcie na blacie.

– Devin Fallon znaleziono martwą w parku Singera pięć lat temu.

– Zgadza się, ale w jaki sposób jej śmierć łączy się z pozostałymi dwiema? Sprawdziłem. Pod rzeźbą nie znaleziono ciał żadnych innych kobiet. Żadnej kobiety nie znaleziono też z małym dzieckiem.

– Zgoda, ale jeśli ktoś przeszkodził mordercy? A jeśli coś się stało i nie mógł wykonać roboty jak trzeba? Nell i Marissa nie zostały zamordowane w miejscu, w którym je znaleziono, prawda? – Joe przytakuje. – Może ktoś zaskoczył mordercę, przez co musiał porzucić Devin gdzieś indziej? W tym wypadku przy bramie po południowej stronie parku. Może spanikował i dlatego tam ją zostawił.

– Okej – mówi Joe sceptycznym tonem. – Ale na miejscu przestępstwa nie było dziecka. Jak to wytłumaczysz? Nie widzę tu związku.

– Po pierwsze, według tego artykułu Devin była bezdomna i miała problem z alkoholem i narkotykami. – Unoszę jeden palec.

– Po drugie, Devin zginęła od ciosu w głowę. Po trzecie, znaleziono ją w parku mniej więcej w okolicach posągu.

– Zgoda, ale co z brakiem dziecka? To bardzo istotny szczegół.

– Cztery – mówię, machając przed nim palcami. – Devin Fallon w chwili morderstwa była w siódmym miesiącu ciąży.

Przez następną godzinę rozmawiamy o profilu podejrzanego. Joe sugeruje obłąkanego mężczyznę, który albo chorobliwie kochał, albo nienawidził swojej matki. Ja proponuję kogoś, kto ma zawód związany z opieką nad dziećmi: lekarz, pielęgniarka, może nawet opiekun socjalny. Ktoś, kto czułby odrazę do matki, która wychowuje dziecko pośród bezdomnych, alkoholu i narkotyków. W końcu Joe porusza temat, którego jak wiem, unikał cały wieczór, a jednocześnie prawdziwy powód, dla którego chciał porozmawiać. Jonah Sharpe.

– Jonah Sharpe nagle zniknął – mówi Joe.

– Jak to zniknął? – pytam.

– Nie można go nigdzie znaleźć. Dziś po południu pojechaliśmy do niego do pracy, a potem do mieszkania. Szef powiedział, że od dwóch dni nie pojawił się w pracy, a jego współlokatorzy twierdzą, że spakował wszystkie swoje rzeczy i wyszedł wczoraj wczesnym rankiem.

– Może pojechał na wycieczkę. To wcale nie znaczy, że uciekł. – Joe nie komentuje. – Co? – pytam gniewnie. – Uważasz, że chłopak, który w taki sposób stracił matkę, nagle zacząłby zabijać kobiety w ten sam sposób? Bardzo to naciągane.

– Pokazaliśmy współlokatorom zdjęcie Marissy. Znali ją. Jonah też. Przychodziła do ich mieszkania.

Serce zaczyna mi bić tak mocno, że słyszę je w uszach. Przecież to niemożliwe, by to był Jonah. Nie ten uroczy, zagubiony chłopiec, który rysował dla mnie obrazki. Nie biedny malec, który tak bardzo wierzył, że ktoś go zaadoptuje, i za każdym razem się rozczarowywał. – Nie wierzę – odpowiadam Joemu z przekonaniem. – A poza tym, co z Devin Fallon? Jonah miał wtedy tylko trzynaście lat, uważasz, że ją też zabił?

Joe ciężko wzdycha.

– Nie wiem, Ellen. Nie wiem. Staram się tylko mieć umysł otwarty na różne możliwości. Nie chciałem cię zdenerwować.

Moja złość gwałtownie gaśnie. Joe wygląda na wyczerpanego.

– Wiem, że wykonujesz tylko swoją pracę. Ale Jonah nie jest dla mnie byle kim. Rósł na moich oczach.

Joe upiera się, że zapłaci za nas rachunek, ale odmawiam. Wtedy miałabym wrażenie, że byliśmy na randce. Dzielimy go na pół i zostawiamy hojny napiwek. Mówię, że znam kogoś w WSS w Sioux City i że jutro do niej zadzwonię. Może dowiem się czegoś jeszcze o przeszłości Marissy. Joe mówi, że przyjrzy się śmierci Devin Fallon, żeby sprawdzić, czy morderstwa łączy coś więcej. Odprowadza mnie do vana i postanawiamy zdzwonić się rano.

Jest dopiero dwudziesta pierwsza, ale równie dobrze mogłaby być i północ. Szumi mi w głowie na myśl, że Jonah mógłby być wmieszany w tę historię. Cała ta sprawa jest zagmatwana. Wjeżdżam na swój podjazd, wyłączam światła i przez chwilę po prostu siedzę. Czując lekkie poczucie winy, liczę na to, że mama nakarmiła, wykąpała i położyła do łóżek moje dzieci. Jedyne czego pragnę to samej rzucić się na łóżko. Nagle przez przednią szybę vana widzę mignięcie koloru. W panice przyciskam centralny zamek, ale nie jestem wystarczająco szybka. Drzwi zostają otwarte, a do środka wsiada zakapturzona postać. Rzucam się, by otworzyć swoje drzwi, ale za nadgarstek chwyta mnie lodowata dłoń, z której uścisku nie potrafię się wyzwolić. Wolną dłonią próbuję sięgnąć po telefon, ale mam go głęboko w torebce, która leży na podłodze przy stopach napastnika.

– Spokojnie, spokojnie – mówi przestraszony głos. – To tylko ja, Jonah. – Przestaję się wyrywać i wpatruję się w ciemność, ale niebo jest zachmurzone, a światło lamp ulicznych za słabe.

– Jonah? – mówię bez tchu.

– To ja – mówi niepocieszenie. Wtedy dopiero rozpoznaję ten niezmiennie smutny głos. Z tego powodu mówiłam na niego Kłapouchy, po melancholijnym osiołku z *Kubusia Puchatka*.

– Co ty robisz? Nieomal umarłam ze strachu – krzyczę.

– Przepraszam – odpowiada ochryple. Poznaję też, że jest na skraju łez. – Musiałem z tobą porozmawiać. Policja uważa, że

mam coś wspólnego ze śmiercią tej dziewczyny.

Myślę o tym, czego dowiedziałam się o Apollu i Artemidzie, którzy zabijali, by chronić Leto. Czy w jakiś chory sposób Jonah uznał, że chroni pamięć o swojej matce, a może, że chroni Masona przed Marissą? Kusi mnie, aby zapytać „A zrobiłeś to? Zabiłeś Marissę?", ale milczę. Nie chcę, żeby uciekł.

– Znam ją, to znaczy znałem – poprawia się. – Ale przelotnie. Mówiłem to jej matce. Mówiłem, że się nie przyjaźniliśmy, że to z Nicholsem się kumplowała. Powiedziałem jej, że nie wiedziałem, czy Marissa coś bierze, ale w to też mi nie uwierzyła. Nie zrobiłem jej krzywdy. Policja myśli, że tak, ale przyrzekam, to nie ja.

– Dlaczego tak myślisz, Jonah? – pytam cicho. – Jestem przekonana, że policja rozmawia ze wszystkimi, którzy znali Marissę.

– Bo widziałem ją tamtego wieczoru. Widziałem ją. Ale nie zabiłem.

– O której godzinie? Gdzie? – pytam, starając się nie podnosić głosu i mówić spokojnie.

– W parku, niedługo przed… niedługo przed jej śmiercią.

– Byłeś w parku? Ty i Marissa?

– Nie razem. – Jonah głośno pociąga nosem. – Tak, była w parku i kupowała.

– Kupowała? Masz na myśli narkotyki? Od kogo? Jonah, musisz to powiedzieć policji. Możesz im pomóc znaleźć tego, kto naprawdę ją zabił.

– Nie – mówi zdecydowanym tonem. – Nie mogę. Nie uwierzą mi. Myślą, że ja to zrobiłem. Z powodu mojej mamy. – Głos mu się łamie. – Przez to, jak ona umarła, uważają, że zrobiłem komuś to samo.

– Nie – odpowiadam, ale mój głos brzmi cienko, bo dokładnie to samo przyszło do głowy Joemu.

– Nie mógłbym nigdy zrobić czegoś podobnego. Nigdy.

– Wiem, Jonah, wiem – mówię, starając się go pocieszyć. – Mogę pójść razem z tobą. Porozmawiasz z policjantami w mojej obecności.

– Nie – odpowiada i sięga po klamkę.

– Czekaj! – krzyczę. – Mogę ci pomóc.

– Chciałem ci tylko to powiedzieć. Chciałem, żebyś wiedziała… – mówi Jonah, otwierając drzwi. Kiedy włącza się sufitowa lampka, widzę, że chłopak wygląda dużo młodziej niż jego osiemnaście lat, ale przeszedł więcej niż niektórzy ludzie przez całe życie. Jego oczy są dzikie i szerokie, jak u schwytanego zwierzęcia.

– Wiem – odpowiadam. – Wierzę ci. – Zanim wysiądzie z vana, coś przychodzi mi do głowy i pytam: – Dlaczego była w parku bez butów? – Jonah patrzy na mnie, jakby nie rozumiał, i po chwili już go nie ma.

Na chwiejnych nogach wysiadam z vana i rozglądam się po ulicy, starając się ustalić, w którą pobiegł stronę. Zniknął w mroku.

– Bądź ostrożny – szepczę za nim. – Uważaj na siebie.

Nie chcę niepokoić mamy ani dzieci. Wdycham całe hausty mroźnego powietrza i staram się opanować, zanim wejdę do domu. Po kilku chwilach wiem, co powinnam zrobić. Z ciężkim sercem wyciągam telefon i dzwonię do Joego. Nie dlatego, bym uważała, że Jonah jest winny. Nie wierzę w to ani trochę. Bardziej obawiam się, że Jonah wpakuje się w kłopoty przez to, że uciekł.

– Już za mną tęsknisz, co? – pyta Joe w ramach powitania.

– Jonah tu był.

Joe od razu poważnieje.

– Nic ci nie jest?

– Nic – mówię z niecierpliwością. – Jest przerażony na amen. Mówi, że widział Marissę w parku w noc zabójstwa. Kupowała narkotyki.

– Powiedział od kogo?

– Nie. Posłuchaj, próbuję powiedzieć, że Jonah nie wiedział, że Marissa była boso. On nie ucieka, bo ją zabił, tylko dlatego, że się ciebie boi. Albo boi się osoby, która ją zabiła. Wspomniał o chłopaku, który nazywa się Nichols, a może Nicholas. Nie wiem. Może to dealer. Jego pewnie też widział.

Po drugiej stronie słuchawki jest cicho. Po chwili Joe mówi.

– Muszę wysłać za nim patrol.

– Wiem, ale traktuj go tak, jak powinieneś – jako świadka, nie podejrzanego.

– W porządku – mówi Joe z westchnieniem. – Dzięki za telefon, Ellen. Wiem, że to nie było dla ciebie łatwe.

– Zadzwonisz do mnie, jeśli go znajdziecie? Joe, on jest taki przerażony, że może zrobić coś głupiego.

Joe obiecuje mi, że zadzwoni od razu, kiedy znajdą Jonaha, a ja obiecuję do niego oddzwonić, jeśli chłopak znów spróbuje się ze mną skontaktować. Kiedy otwieram frontowe drzwi, zastaję mamę na kanapie, jak buja zasypiającą Avery. Dom jest cichy, zabawki są uprzątnięte, kuchnia aż lśni. Moja mama to skarb.

Mama przykłada palec do ust.

– Już prawie zasnęła.

– Nie wiem, jak ty to robisz. – Ostrożnie siadam obok niej, starając się nie przestraszyć Avery. – Sprawiasz, że to wydaje się takie łatwe. – Mama czerwieni się na ten komplement i skromnie uśmiecha.

– Robi się późno – mówię, zerkając na zegar na ścianie. Po ulicach krąży morderca i nie chcę, żeby mama była zdana sama na siebie. – Może zostaniesz na noc?

– Nie jest wcale tak późno. Zresztą nie mogę zostawić Dolly samej aż do rana. – Wiem, że dyskusje z mamą są z góry przegrane. Dolly to bardzo stara suczka mamy, krótkowłosa wyżlica niemiecka, która od śmierci ojca stała się jej najlepszą przyjaciółką. Kładę Avery w jej łóżeczku i odprowadzam mamę do samochodu. Kiedy odjeżdża, rozglądam się po ulicy za Jonahem, mając nadzieję, że albo znalazła go policja, albo uciekł gdzieś bardzo daleko.

Wracam do domu i jeszcze raz zaglądam do dzieci. Każde zwinęło się w kłębek pod swoją pościelą i smacznie śpi. Kusi mnie, aby położyć się do łóżka, ale wiem, że do chwili, aż Jonah nie zostanie znaleziony przez policję cały i zdrowy, sen nie wchodzi w grę. Schodzę po schodach, przystając, aby o kilka stopni podkręcić termostat, i wracam przed komputer. Najpierw włączam pocztę i wysyłam wiadomość do koleżanki z WSS w Sioux City, Christiny Gordon, z zapytaniem o Melissę Newkirk

i na wszelki wypadek podaję numer komórki, pisząc, że może zadzwonić o każdej porze dnia i nocy.

Następnie szukam w internecie innych przypadków, które choćby w odległy sposób przypominają śmierć Nell, Marissy albo Devin Fallon. Nic. Kusi mnie, aby zadzwonić do Joego i dowiedzieć się, czy jest jakiś ślad Jonaha. W myślach raz po raz odtwarzam nasze krótkie spotkanie. Jonah znał Marissę – tak jak wielu innych ludzi. Jonah upierał się, że ledwie ją zna, a nawet powiedział o tym jej matce. Siadam wyprostowana. Kiedy Jonah i Judith rozmawiali ze sobą? Pewnie kiedy Judith nie mogła skontaktować się z córką i przyjechała do niej ze Sioux City. Jonah wspomniał też o jakimś Nicholasie lub Nicholsie.

Otwieram swoją stronę na Facebooku i szukam profilu Jonaha. Tak jak wielu młodych ludzi Jonah ma konto dostępne dla wszystkich. Wystarczy kilka kliknięć i sprawdzam listę jego znajomych. Wszystkich dziewięciuset czterech. Sprawdzam, czy Marissa miała konto na Facebooku, i z ulgą stwierdzam, że jest tam tylko dwustu siedemdziesięciu dziewięciu znajomych. Większość grupy stanowią inni młodzi ludzie w podobnym wieku. Jest tam Nicholas, Nick i Ryan Nichols. Zapisuję wszystkie nazwiska na kartce z notesu. Zauważam też zdjęcia trzech starszych mężczyzn. Co powiedział Joe? *Może to był ktoś, kto ma coś przeciw złym matkom?* Morderca, który zabił Nell, Marissę, a być może i Devin, musiałby być przynajmniej po trzydziestce. Spisuję nazwiska mężczyzn i próbuję wejść na ich profile. Dwa są zablokowane, ale udaje mi się otworzyć trzeci. Robert Camire, czterdzieści jeden lat, który jako zawód wpisał „specjalista od leczenia uzależnienia narkotykowego i alkoholowego”. Przy jego nazwisku stawiam gwiazdkę.

Mój telefon zaczyna wibrować i momentalnie się na niego rzucam, mając nadzieję, że to Joe z wiadomościami o Jonahu, a przynajmniej Christina ze Sioux City. Spoglądam na wyświetlacz – to Joe.

– Halo – mówię zaniepokojona.

– Ellen. – Jego głos jest oschły.

– Znaleźliście go? – Co zaskakujące, czuję ulgę. Przynajmniej wiem, że w rękach policji Jonah jest bezpieczny.

– Nie, Jonah zniknął bez śladu. Chodzi o Marissę. Znaleźliśmy jej kurtkę i zimowe buty.

– Jak to? – pytam. – Wydawało mi się, że nie miała ich na sobie.

– Na pewno miała. Zostały znalezione w śmietniku za Kmartem kilka przecznic od parku.

– Skąd wiesz, że należały do Marissy? Czy to czarne buty, o których mówił Mason?

– Nie, te są szare w jodełkę. Od C.C. Watsona, tego drogiego sklepu ze sprzętem turystycznym. Buty owinięte były w kurtkę z kapturem, na której znajdowało się dużo zaschniętej krwi. Zrobimy testy DNA, ale jesteśmy przekonani, że należą do niej. W mieszkaniu znaleźliśmy trochę zdjęć, na których ma podobne buty i kurtkę, ale poprosimy, żeby obejrzała je jej matka i powiedziała nam, czy to rzeczy Marissy.

– Co to oznacza? Jak myślisz, co zaszło?

– Na początku myśleliśmy, że kobieta została zabita w jakimś budynku, przetransportowana do parku i zaniesiona pod posąg, ale teraz wygląda na to, że raczej zginęła na zewnątrz. Może nawet w parku.

– To by się zgadzało ze słowami Masona i z tym, co Jonah widział w parku – dodaję.

– W autopsji nie było wzmianki o gwałcie? – Próbuję sobie przypomnieć szczegóły raportu koronera.

– Nie, tylko uderzenie w tył głowy. Wydaje mi się, że ktokolwiek to zrobił, chciał, byśmy myśleli, że Marissa została zabita gdzie indziej i porzucona w parku.

– Z minuty na minutę ta sprawa robi się coraz dziwniejsza – mamroczę. – Dzięki za telefon. Nadal dasz znać, kiedy znajdziesz Jonaha?

– Jasne – zapewnia mnie Joe. – Odezwę się rano.

Żegnamy się, a ja, choć bardzo się staram nie zasnąć przed powrotem Adama, odpływam na kanapie z komórką w dłoni.

Kiedy budzę się rano, przykryta jestem kocem, a powietrze wypełnia aromat kawy. Siadam zlękniona, zdając sobie sprawę, że

w nocy ani razu nie słyszałam płaczu Avery.

– Nie martw się, Avery śpi – mówi Adam, podając mi kubek kawy. – Dałem jej butelkę, kiedy wczoraj w nocy wróciłem do domu. Spałaś twardo jak kamień i nie miałem serca cię budzić.

– Dzięki, jesteś wspaniały – mówię, upijając łyk z kubka. – Pewnie padasz z nóg. Wygraliśmy? O której wczoraj wróciłeś?

– Przegraliśmy pięcioma punktami i byliśmy na miejscu koło północy. Nic mi nie jest – to sezon koszykówki, jestem przyzwyczajony do zmęczenia.

Adam pomaga mi obudzić dzieci i je wyszykować.

Zawozi Leah i Lucasa do szkoły, a Avery do opiekunki, ja zaś jadę do pracy. W biurze panuje błoga cisza. Cały poranek wypełniam dokumenty i czekam na telefon od Joego w sprawie Jonaha. Nie dzwoni. W końcu około południa postanawiam, że nie mogę tak siedzieć bezczynnie. Zakładam kurtkę i rękawiczki i wychodzę z budynku. Z nieba lecą duże płatki, powoli przykrywając stary, brudny śnieg cienką warstwą, dając miastu nowe, czyste oblicze. Strącam śnieg z przedniej szyby vana i jadę pięć przecznic do parku Singera. Wychodzę z auta i małymi krokami idę ostrożnie do oblodzonej ścieżki prowadzącej do posągu Leto. Jej poważną twarz zasnuł woal śniegu i z niezrozumiałego dla mnie powodu mam ochotę strzepać płatki z jej oczu. Co widziała tamtego wieczoru? Gdyby wykute z kamienia dzieci u jej stóp mogły mówić, co by powiedziały? Co by mi przekazały? Teraz wydaje mi się to jasne: odpowiedź tkwi w dzieciach. Nie w Artemidzie i Apollinie, dzieciach Leto, ale w Jonahu i Masonie.

Muszę jeszcze raz porozmawiać z chłopcami. Nie chodzi o to, że Mason nie wie, co stało się z jego mamą – po prostu nie zadałam mu odpowiednich pytań. W noc śmierci matki widział pewnie więcej, niż zdaje sobie sprawę. Mieszkanie Marissy znajduje się tylko kilka przecznic stąd, a Judith i Mason powinni właśnie pakować rzeczy Marissy. Mimo śniegu temperatura jak na styczeń jest umiarkowana, więc postanawiam przespacerować się do jej mieszkania w starym szeregowcu, który zamieniono na osobne mieszkania, każde z własnym wejściem.

Kiedy wchodzę do środka, zaczyna wibrować mi telefon. To Christina ze Sioux City. Wymieniwszy grzecznościowe pytania o dzieci, mężów i pracę, przechodzę do sedna.

– Słyszałaś o morderstwie? – pytam.

– Tak, piszą o tym w tutejszych gazetach. Wszyscy czujemy się strasznie. Kilka lat temu dobrze znaliśmy rodzinę Newkirków. W szkole średniej Marissa była prawdziwą diablicą. Kiedy urodziła Masona, stała się jedną z naszych podopiecznych.

– Pamiętasz kogoś z tamtych czasów, z kim Marissa mogła mieć na pieńku? Może z dawnym chłopakiem?

– Nie przypominam sobie nikogo konkretnego, ale tych dawnych chłopaków na pewno było wielu. Prawie straciła dziecko, ale wzięła się w garść i z tego, co słyszeliśmy, świetnie dawała sobie radę. Słyszałam nawet, że poszła do szkoły i chciała zostać terapeutą oddechowym.

– Co było punktem zwrotnym? Co sprawiło, że się zmieniła? – pytam.

– Wszystko dzięki mamie. Zagroziła, że odbierze jej Masona, jeśli nie skończy z imprezami, piciem i narkotykami. Odbyła się nawet rozprawa o ustalenie opieki, ale obie strony pogodziły się na sali sądowej i Marissa obiecała, że pójdzie na odwyk i wróci do szkoły. Jej matka nie pragnęła niczego więcej – chciała tylko, żeby Marissa ułożyła sobie życie i zadbała o przyszłość swoją i Masona. Naprawdę wierzyłam, że to będzie przypadek ze szczęśliwym zakończeniem.

– Dzięki za informacje, bardzo mi się przydadzą – mówię i już mam odłożyć słuchawkę, gdy Christina mnie powstrzymuje.

– Wiesz, kiedy teraz o tym myślę, przypominam sobie pewnego chłopaka, jeśli można go tak określić. Marissa miała z nim prawdziwe kłopoty. Interwencje policji i zakazy zbliżania.

– Pamiętasz, jak się nazywał? – pytam z zainteresowaniem.

Christina cicho zastanawia się po drugiej stronie słuchawki.

– Nie, nie pamiętam, ale sprawdzę akta i oddzwonię.

Rozłączamy się, a ja idę pełnymi rozmokłego śniegu ulicami aż na Laurel Street. Obchodzę dom, gdzie znajdują się schody

prowadzące do wejścia na drugie piętro. Judith, ubrana w stare ciuchy, wita mnie w drzwiach.

– Pani Moore, prawda? – pyta, wpuszczając mnie do środka.

– Proszę mi mówić Ellen. – Rozglądam się po małym mieszkaniu.

– To takie trudne – mówi Judith, wycierając oczy szorstką czerwoną dłonią. Wydaje się taka krucha. Jej chude ramiona są przygarbione z żalu. W dżinsach, które luźno zwisają jej z bioder, nogi Judith wydają się chude jak patyki.

– Nie jestem sobie w stanie nawet tego wyobrazić – mówię ze współczuciem. Myślę o Leah i Lucasie oraz Avery i świadomość, że mogłabym ich stracić, przeszywa mnie do szpiku kości. – Jak się trzymasz? Jak się ma Mason?

– Jest zdezorientowany, przestraszony, smutny – mówi z rezygnacją. – Nie rozumie, że mama już nigdy nie wróci. Jak to w ogóle wytłumaczyć czterolatkowi?

Kręcę głową i nic nie mówię. Jako opiekun socjalny próbowałam tłumaczyć takie rzeczy malcom, których rodzice umarli, poszli do więzienia albo ich porzucili. To nigdy nie jest łatwe.

– Zastanawiałam się, czy może mogłabym jeszcze raz porozmawiać z Masonem.

Judith zmarszczyła brew.

– O tym, co się stało? – pyta. – Czy detektyw… – Próbuje sobie przypomnieć jego nazwisko.

– Detektyw Gaddey – podpowiadam jej.

– Tak, właśnie. Przepraszam. Z trudem jasno myślę. Czy detektyw Gaddey też przyjedzie?

– Nie, nie – mówię pospiesznie. – Byłam w parku i przyszłam pieszo. Pomyślałam, że zobaczę, czy nadal tu jesteś, Judith. Cały czas mam wrażenie, że Mason może wiedzieć więcej, niż się nam wydaje.

– Usiądź, proszę – zachęca Judith. Z wysiłkiem podnosi duże pudło pełne rzeczy córki, najwyraźniej ubrań, i stawia je na podłodze obok wypełnionego do połowy worka na śmieci. Obie siadamy i Judith patrzy na mnie oczami tak smutnymi, że patrzenie w nie aż boli.

– Nie bardzo wiem, co jeszcze mógłby powiedzieć Mason o… o tym. Był już przesłuchiwany przez ciebie i policjantów. Za każdym razem mówił mniej więcej to samo.

– Wiem i bardzo mi przykro, że muszę powrócić do tego bolesnego tematu, ale liczę na to, że Mason, no nie wiem… powie nam więcej – kończę nieudolnie.

– Chciałabym tego samego. – Spogląda rozpaczliwie w stronę zamkniętych drzwi. – Teraz drzemie. Ostatnio nie śpi dobrze w nocy. Ale mogłabym go chyba obudzić.

– Nie, nie, proszę tego nie robić – mówię, nagle czując się jak złoczyńca, który zakłóca żałobę kobiety.

– Czy znaleźli tego młodego mężczyznę? Miał chyba na imię Jonah – pyta Judith. – Detektyw Gaddey mówił, że mógł być zaangażowany w morderstwo.

– Nie, jeszcze go szukają – mówię. – Znasz Jonaha?

– Ależ skąd. Za to Marissa wspomniała o nim parę razy. Powiedziała, że jego biedna matka została zamordowana w tym parku, kiedy był mały. – W jej oczach srebrzą się łzy. – Chyba nie uważacie, że coś w nim pękło i zrobił Marissie to samo, co ktoś inny wyrządził jego matce?

– Nie wiem – odpowiadam i kątem oka zauważam błysk srebra w jednym z foliowych worków. Nachylam się nieco, aby lepiej się przyjrzeć. Para czarnych zimowych butów ze srebrną klamrą przy kostce.

– Chodzi mi o to, że to niebywałe, by pod tym samym posągiem znaleźć dwa ciała młodych matek. – Zaczyna się trząść. – I to z dziećmi.

– Wiem, to przedziwny zbieg okoliczności. – Odciągam wzrok od foliowego worka i spoglądam na Judith. Patrzy na mnie z zaniepokojeniem.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak – odpowiadam, kręcąc głową, aby otrząsnąć się z zamyślenia. – Nic mi nie jest. – Zerkam na worek. Zimowe buty Marissy zostały znalezione w śmietniku, zawinięte w jej kurtkę. Czy pracująca dorywczo i studiująca matka mogła sobie pozwolić na aż dwie pary?

– Przepraszam. – Judith uśmiecha się niepewnie. – Muszę się napić wody. Ty też?

– Nie, dziękuję. – Kiedy się odwraca, trącam worek stopą, wyraźniej odsłaniając buty. Są czarne i obrębione futerkiem. Moja mama założyłaby takie. – Czyli nigdy nie poznałaś Jonaha Sharpe'a – pytam znowu. – Nigdy nie rozmawiałaś z nim o tym, czy Marissa znów bierze?

Judith odwraca się do mnie z przerażoną miną.

– Nie, dlaczego? Marissa sobie z tym poradziła. Nigdy nie zrobiłaby niczego, co mogłoby skrzywdzić Masona.

– Przepraszam – mówię potulnie. – A jakiś dawny chłopak? Mężczyzna ze Sioux City z zakazem zbliżania się?

– Skąd o tym wiesz? – pyta ostrym tonem.

– Ja… ja... – Dłonie zaczynają mi się pocić i wtedy łamigłówka sama zaczyna się rozwiązywać. Mogłabym wstać i uciec z mieszkania. Wiem, że jestem od niej szybsza, ale to oznaczałoby, że zostawiam Masona samego z Judith. Wsuwam dłoń do kieszeni i na oślep wciskam guziki, licząc, że z kimś się połączę. – Jakoś się pani dowiedziała, że Marissa znowu pije i bierze narkotyki, i pojechała za nią tamtej nocy do parku.

Wychudzona twarz Judith tężeje, ale kobieta nic nie mówi. W dłoni trzyma nóż. Ostrze nie jest szczególnie długie, ma może siedem albo dziesięć centymetrów, ale jest ostre i mogłoby wyrządzić dużo szkód. Nieznacznie zbliża się do mnie. Wstaję, rozglądając się za drogą ucieczki. Gdybym tylko mogła dostać się do sypialni Masona, mogłabym się tam zamknąć lub zabarykadować i wezwać policję.

– Obiecała mi – mówi Judith. Twarz wykrzywia jej żal. – Obiecała, że na dobre skończy z tamtym życiem. Przestałam walczyć o opiekę nad Masonem, bo powiedziała, że syn jest dla niej najważniejszy na świecie.

– Judith, wiem, że kochasz Masona. To oczywiste, że chcesz dla niego jak najlepiej. Proszę, pomyśl o Masonie. Pozwól mi zadzwonić do detektywa Gaddeya. On cię wysłucha.

– Nie! – krzyczy Judith, robiąc kolejny krok w moją stronę. Trzęsącymi się dłońmi podnosi nóż.

– Okej, okej – mówię, unosząc dłonie w błagalnym geście. Nie mogę jej denerwować, nie mogę pozwolić, by przestała mówić. – Proszę, Judith, próbuję cię zrozumieć. Podejrzewałaś, że Marissa bierze, znowu zaniedbuje Masona, a kiedy nie mogłaś się z nią skontaktować we wtorek, przyjechałaś tu ze Sioux City.

Judith opuściła ramiona.

– Kiedy przyjechałam, drzwi były otwarte, ale Marissy nie było, Mason leżał w łóżeczku i był ledwie przytomny. Nafaszerowała go lekiem na przeziębienie, żeby spał, a ona mogła kupić prochy.

– Czemu nie wezwałaś policji? Daliby ci tymczasową opiekę nad chłopcem – pytam, nieznacznie cofając się i tworząc między nami większą przestrzeń.

Judith kręci głową.

– Byłam taka wściekła. Chciałam ją znaleźć i powiedzieć jej, że odbieram jej Masona na zawsze. – Patrzy na mnie błagalnym wzrokiem. – Tyle kłamstw! Dlaczego Marissa nie mogła być dobrą matką? Ja byłam dla niej dobrą mamą.

– To wtedy zapukałaś do drzwi Jonaha Sharpe'a i zapytałaś, gdzie jest Marissa. Powiedział ci, że widział ją w parku. Pojechałaś jej poszukać.

– Nie mogę stracić Masona, tylko on mi został. – Judith prostuje się, jakby szykowała się do tego, co musi zrobić dalej.

– Jeździłaś z Masonem na tylnym siedzeniu, szukając Marissy, i znalazłaś ją w parku. Nie rozumiem tylko, dlaczego musiałaś ją zabić.

– Była pod tą rzeźbą. Zimno jak w grobie, ale ona siedzi sobie naćpana. Pewnie hydrokodonem – mówi z goryczą. – Zdenerwowała się, że przejechałam całą tę drogę, żeby sprawdzić, czy nic jej nie jest, i zaczęła mnie strasznie wyzywać. Powiedziała, że już nigdy nie zobaczę Masona. Nie miało dla niej znaczenia, że jej czteroletni syn jest tak odurzony, że ledwie widzi na oczy. – Z piersi Judith wydobywa się duszący szloch. – Zagroziłam, że zadzwonię do służb społecznych i że odbiorą jej dziecko. Marissa ruszyła do auta po syna, a ja straciłam nad sobą kontrolę. Chwyciłam butelkę, która leżała na ziemi, i uderzyłam ją w głowę. – Judith zakrywa twarz dłońmi i zaczyna gwałtownie

płakać. – Tak mocno ją uderzyłam. – Patrzy na mnie bezradnym wzrokiem. – Byłam taka wściekła. Nie mogłam pozwolić, aby Mason nadal z nią mieszkał. Nie był z nią bezpieczny.

Skrzypnięcie podłogi sprawia, że obie odwracamy wzrok w stronę sypialni. Zaspany Mason patrzy pytającym wzrokiem na nóż w ręce Judith?

– Babciu? – pyta szeptem.

Na komisariacie siedzę w pokoju przesłuchań naprzeciw Joego.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego ściągnęła Marissie buty i kurtkę.

– Oficjalnie jeszcze jej nie przesłuchaliśmy. Poprosiła o adwokata – wyjaśnia mi Joe – ale chyba chciała, by wszyscy myśleli, że Marissę zabito gdzie indziej, przewieziono do parku i położono przed posągiem. Nikt by nie podejrzewał, że taka krucha kobieta mogłaby kogoś zabić, a potem przenieść gdzieś ciało. Ponieważ Marissa miała na głowie kaptur, zebrała się w nim krew. Judith musiała jedynie ściągnąć buty i kurtkę i zostawić ciało pod figurą Leto.

– Wiesz, wydawało mi się, że Judith może być szalona, ale teraz nie jestem już pewna. Była taka zła na Marissę za to, jaką jest złą matką, że ją zamordowała, a potem próbowała zrzucić winę na biednego nastolatka. Tak nie robią wariaci. Tak robią złoczyńcy.

– A na dodatek musiała zostawić Masona na miejscu zbrodni, bo inaczej wiedzielibyśmy, że była już w Cedar City, kiedy doszło do morderstwa. To ona wykonała anonimowy telefon na policję i kiedy była pewna, że Mason jest bezpieczny, zgłosiła się na komisariat, twierdząc, że jej córka zaginęła. – Oboje siedzimy w ciszy, zastanawiając się nad czynami Judith, które niemal uszły jej na sucho.

– Masz szczęście, że Judith nie zabiła i ciebie – mówi nerwowo Joe. – Nie powinnaś była w ogóle tam iść.

– Chciałam tylko zobaczyć się z Judith, porozmawiać jeszcze raz z Masonem, zanim wyjadą. W życiu bym się nie domyśliła, gdyby nie buty w worku na śmieci. Wiem, że mogły należeć do Marissy. Mason był tak odurzony lekiem na przeziębienie, że jedyną

wskazówką, jaką mógł nam dać, były te czarne buty. – Kręcę głową ze smutkiem. – Zanim Judith zabrała policja, błagała mnie, abym nigdy nie powiedziała Masonowi, że to ona zabiła mu matkę.

– Co odpowiedziałaś?

– Była w histerii. Skłamałam, że nikt nigdy nie powie Masonowi prawdy o tym, co zaszło. – Staję na nogi, czując jak cała się trzęsę. – Te wszystkie kłamstwa zdają się nie mieć końca.

– Czy w takim razie powiesz Masonowi prawdę?

– Jeśli mnie zapyta, to owszem, powiem mu. – Spoglądam na Joego pytającym spojrzeniem. – Ty byś nie powiedział?

– Prawdę mówiąc, nie wiem – przyznaje Joe. – Jest taki mały. Czy on by to w ogóle zrozumiał?

Przez chwilę oboje milczymy i pogrążamy się we własnych myślach. Choć bardzo chciałabym chronić moich podopiecznych przed prawdą, już na samym początku pracy nauczyłam się, że kłamstwa, małe czy duże, w końcu niszczą, a w najlepszym przypadku podkopują wiarę w świat.

– Co się teraz stanie z Masonem? – pyta Joe.

– Będziemy szukać innych krewnych, ale jak na razie zostanie w rodzinie zastępczej u Marthy Renner.

– Nowy Jonah Sharpe – mówi. – A my nadal nie wiemy, kto zabił Nell i Devin Fallon.

– Jonah nadal się nie pojawił? – pytam smutnym tonem, wiedząc, że Joe powiedziałby mi, gdyby było inaczej.

– Nie. – Joe wstaje, kręcąc głową. – Jeszcze nie. Powinnaś pojechać do domu i trochę odpocząć, Ellen. Miałaś okropny dzień. – Pod wpływem impulsu Joe na chwilę mnie przytula. – Cieszę się, że nic ci nie jest.

Miękkie płatki śniegu, które padały wcześniej, teraz przemieniły się w małe ostre kulki, które wściekle tną mnie po twarzy. Ledwie wsiadłam do vana, a rozlega się wibrowanie telefonu. To Adam.

– Zgadnij co? – mówi z podekscytowaniem.

– Co? – pytam zmartwiona.

– Odwołałem trening z powodu śniegu. Pojadę po dzieci do szkoły i po drodze kupię pizzę.

Odpalam vana i jadę do domu, do mojego męża i dzieci.
– Brzmi cudownie – odpowiadam z uśmiechem.

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Dedykacja
* * *
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: Little Lies

LITTLE LIES by Heather Gudenkauf. Copyright © 2014 by Heather Gudenkauf. By arrangement with the author. All rights reserved.
Copyright for the Polish edition © 2014 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych

Wydanie I, Poznań 2015

Zdjęcie na okładce: © Marta Bevacqua / Arcangel Images

Przekład: Joanna Dziubińska
Redakcja: Magdalena Świekatoń. Editio
Korekta: Jana Slinkina, Editio

eISBN: 978-83-8075-004-3

FILIA

Wydawnictwo FILIA
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
www.wydawnictwofilia.pl

Wszelkie pytania prosimy kierować na adres:
czytelnicy@wydawnictwofilia.pl

Dołącz do nas na Facebooku!

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl